

H. ZBIERZCHOWSKI

GRAJĄCY LAS

I INNE NOWELE



LWÓW 1908

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA: E. WENDE I SKA (T. HIŻ I A. TURKUŁ).

Grający las i inne nowele

Henryk Zbierzchowski



Księgarnia Polska B. Połonieckiego / E. Wende i Ska, Lwów
— Warszawa, 1908

Pobrano z Wikiźródła dnia 29.05.2017

H. ZBIERZCHOWSKI

GRAJĄCY LAS

I INNE NOWELE

LWÓW 1908

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA: E. WENDE I SKA (T HIŻ i A. TURKUŁ).


Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.

SPIS RZECZY:

[GRAJĄCY LAS](#)

1

<u>ŚMIERĆ</u>	25
<u>BORA</u>	51
<u>W TĘ DZIWNĄ, JEDYNĄ NOC</u>	67
<u>PRZYGODA MAŁEGO ZBYSIA,</u>	91
<u>WĘDROWNIKA</u>	
<u>TCHÓRZ</u>	107
<u>BACYLUS POETICUS</u>	129

 Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Henryk Zbierzchowski](#).

GRAJĄCY LAS.

Było to przed wiekami, a może przed godziną, gdy rozbudzona fantazyja, jak napięta cięciwa łuku poczęła wyrzucać złociste strzały-majaki, strzały miraże... Uderzył dzwon na odjazd w marzenie... dalej włączęgo na słodkie przygody, na ucieszne igraszki... siedmiomilowe buty włóż, w rękę weź kij podróżny i w kaptur niewidzialny ustrój rozwichrzoną głowę...

Noc... ciemności zwał nieprzenikniony otacza moją izbę; zadrzały stropy, domek mój rusza w podróż... i płynie już w przestwór, niby łódź na falach ciemności. Jeszcze coś smutnego włączy się za mną... ktoś płacze... nie to deszcz dzwoni o szyby, to monotonnym szmerem grają krople dżdzu w rynnach, to wiatr jęczy w kominie... wlecze się za mną ostatnie wspomnienie mojej smutnej ziemi... tak trudno zapomnieć, tak trudno... Wezmę ze sobą tę częśćkę melancholii, jak talizman ukryję ją pod sercem... niech śpi, niech się nie budzi, lecz niech będzie ze mną w złych i dobrych godzinach, w uciesznej podróży w krainę baśni, gdzie czeka mię tyle słodkich przygód, gdzie już uśmiecha się do mnie przez nieodgadniona zasłonę jakaś królewska twarz, w złocistych włosów wieńcu, gdzie dzwonią mi pancerze rycernych hufców, grają złociste lutnie od miodu słodsze romanzerzy i gdzie pacholę płowowłose, z duszą od cudów rozdzwonioną słuca dziwnego szumu ponurych, ciemnych borów... Czas mi już iść... księżyc, odwieczny awanturnik, do

szyb mego okna przylgnął srebrną twarzą... przez szpary mego domku przeświecają gwiazdy, jak świętojańskie owady... a nawet biały szlak drogi mlecznej opiera się swym początkiem o framugę okna, i leży ogromny nieskończony, na gwiazdach rozparty tak blisko, tak bliźniutko, że ręką zda się mógłbym go dosięgnąć... Siedmiomilowe wkładam buty, stroję swą głowę rozwichrzoną w bajeczny kaptur niewidzialny... I dłonią niecierpliwą otwieram okno mojej izby... Hej! przedemną światy nieskończone, zawrotne, nieprzebyte drogi, przedemną dzwonią gwiazdy złote, bieleje cudnie droga mleczna i pachnie zda się nieskończoność...

Wyciągam dłonie roz tęsknione i w przestwór, co u stóp mych leży, rzucam się głową na dół... w gwiazdy...

.....

Szumi odwieczny bór... a dziwny to szum. Nikt nie zna jego mowy, nikt nie zgadnie, co za moc porusza to nieskończone morze drzew, wrosłych czarną ścianą w pogodny, rozciągnięty aż gdzieś na krańce świata firmament niebieski...

Wiatr usnął, na niebie nie zoczysz ani jednej chmurki, gwiazdy wykwitają w przestworzu, jak kwiaty na łące... A bór gra... Majestatyczny to dziwny szum... Rozpoczął się on gdzieś w najtajniejszych głębiach i szerzy się aż na krańce lasu... Rozkołysały się nieruchome konary, drgnęły listki zbudzone ze snu, zaskrzypiały gałęzie, poruszyły się leniwo czuby odwiecznych drzew i uderzają lekko o siebie... Jedne drzewa podają drugim ton... wąż osika drży listeczkami niby przelękniona, brzozy szemrzą sypkim, szklannym jękiem, drgnął stary dąb i zaskrzypiał suchemi konarami, grają

rozlewnie buki i sosny i cały ten stugłosy chór niesie się w dal, przelewa się po rozkołysanych szczytach, wzmagą się tysiącem ech, szmerów i łkań i przepada gdzieś w ciemnej dali... Gotfryd, młode pachole, syn węglarza, którego kuźnia ukryta w głębi boru, dzień cały wyrzuca ku niebu kłęby brunatnego dymu, błądzi o takiej chwili w niedostępnych, nikomu nieznanych ostępach leśnych i słucha tajemniczego szumu drzew... Tyle lat spędził w gąszczy lasu, już od kolebki szumiał mu bór ten, w którym zamykał się cały świat jego marzeń i tęsknota młodego, junaczego życia... Gotfryd zna las ten, jak nikt z ludzi żyjących, dotknięciem czułych, miłujących dłoni poznaje każde drzewo, zwiedził w swoich wędrówkach dzikie ostępy i zapadliska leśne, gdzie dotąd nie spoczęła ludzka stopa... Więc chłonie duszą szum rozkołysanych drzew i rozumie tę dziwną, jedyną, niczemu niepodobną modlitwę lasu w pogodną noc letnią, tak jak zrozumiał już wiele przedziwnych rzeczy z tajemniczego, nikomu nieznanego życia gęstwi leśnej.

Lecz w słowa by tego zamknąć nie potrafił, tylko uśmiecha się urocznie albo popada w jakieś długie, skupione zamyślenie. Wówczas wzrok jego wyteżony przenika słodkie, radości pełne tajemnice i sięga rzeczy niedostępnych ludziom... Zresztą Gotfryd już dawno zapomniał mowy ludzkiej... a może nawet nie miał czasu się jej wyuczyć... Las ten niezmierny, bez końca i bez początku, był od najmłodszych lat jego jedynym przyjacielem i jego piastunką... znał za to mowę drzew, boru, traw i kwiatów, porozumiewał się z lasem miłującym dotknięciem konarów, albo śpiewnem bezsłownem nawoływaniem, na które odpowiadały mu ze wszystkich stron cudaczne echa, modlił się wraz z nim w godzinie

przedwieczornej albo witał wraz z jego radosnym szumem wstające słońce. To też bór odkrywał mu wszystkie swe cuda, uroczone zabawy, tajemne dziwowiska, o których się nie śniło ludziom. Nieraz, przykucnięty do ziemi, na miękkim kobiercu mchów, zaczynał się za drzewnym wykrotem i czekał z bijącym sercem tej chwili, kiedy nad drzewne czuby wypływał miesiąc i srebrno-zielonem światłem przenikał aż do dna mroczną gąszcz leśną... Rozpoczęły się wówczas tajemne obrzędy i dziwowiska. Widział ze swej kryjówki, jak poważne muchomory, rosnące w cieniu dębu, ruszały się z miejsca i biorąc się za ręce rozpoczynały ucieszny taniec na srebrnych mchach, widział jak małe sylfy o skrzydłach jętki pływały na zwiędłym liściu po cichej wodzie małej bajurki leśnej albo dosiadały niby wierzchowców koników polnych, patrzył rozszerzonymi od tyłu cudów źrenicami, jak w kielichu lilii wodnej, prześwieczonej miesiącem, królowa elfów przemywała srebrną rosą zaspane ze snu oczęta, a potem zeskakiwała lekko na murawę, listkiem paproci czesała złociste włosy, i z białej pajęczyny, włóczącej się po ziemi, wiała delikatne nici i przedła dla siebie drobną, leciuchną koszulkę...

W wędrówkach swoich spotykał legowiska dzikich zwierząt, lecz żadne stworzenie nie tknęło go, mieszkańca puszczy. I płynęły tak dni za dniami, co dzień rano po jednej stronie boru podnosiło się słońce, stroiło las tysiącami blasków i zapadało po drugiej stronie krwawymi łunami. Czasem ciszę leśną przerwał donośny głos rogów myśliwskich... las cały rozbrzmiewał okrzykami, w zapadłych ostępach rozlegał się trzask gałęzi, ujadanie psów niosło się echemi wśród drzew. Często przelatywał wówczas przed zasłuchanym w te gwary Gotfrydem, zwierz, spłoszony z kryjówki, i biegł na oślep z

źrenicami błyszczącymi od lęku w niedostępne strony boru...

To polowała precudna Elza, wdowa po rycerzu zbójniku, której zamek wyniosłemi wierzami wystrzelał ponad najwyższe drzew wierzchołki. Gotfryd raz tylko ją widział, lecz twarzy jej nie mógł dostrzec za spuszczoną przyłbicą. A było to tak... pewnego dnia zabłąkał się w swych wędrowkach w okolicy zamku... Traktem leśnym, prawie tuż pod jego groźnymi murami, wlokła się właśnie powoli karawana kupiecka. Po mokrej ziemi skrzypiały olbrzymie koła wozów, wyładowanych towarami, konwój uzbrojonych jeźdźców otwierał i zamykał pochód. Gotfryd siedział wśród gęstych gałęzi drzewa i widział jak na dłoni cały ten malowniczy obraz. W tej chwili na wieży zamku rozległ się głos rogu, zaskrzypiały łańcuchy, opadł z hukiem most zwodzony i przez bramę wypadła konna, rycerna gromada pachołków, uzbrojonych w dzidy, oszczepy i miecze. Na czele hufcu, wprost na Gotfryda, na białym rumaku pędziła kobieta-rycerz, w błyszczącej zbroi, z twarzą okrytą przyłbicą, z pod której wymykały się rozrzucone na wietrze pasma złocistych włosów. Na puklerzu i hełmie paliło się południowe słońce z taką mocą, że wyglądała jak zjawisko, jak błyskawica...

Wpadli jak grom na karawanę, zmietli ją siłą rozpędu, rozległ się głuchy szcęk mieczów o zbroice, wołanie o ratunek, jęki umierających... kilka trupów, broczących krwią zaścieliło leśną murawę... A potem wciągnięto wozy za mury zamku, podniósł się most zwodzony i głucha cisza zaległa znów leśne uroczyska... Wszystko to trwało tak krótko, że Gotfryd przez długi czas był pewnym, czy to sen czy jawa. Dopiero gdy zeskoczył z drzewa i potracił nogą o ciepłe jeszcze zwłoki, zrozumiał wszystko i uciekł gnany lękiem w

głąb boru. Lecz obraz rycerza-kobiety, ze złocistymi włosami pod hełmem, utkwiał mu w duszy głęboko i wyrył jakąś serdeczną niezatartą bruzdę w sercu. Dopadł do swej kryjówki, rzucił się na mchy, objął ziemię rękami, przycisnął ją do swej piersi i jakieś nieznane dotąd uczucie zalało mu serce. W tej chwili w oczach uczuł dziwną wilgoć i łzy poczęły spadać gęsto na srebrny, delikatny mech leśny... zdziwił się niezmiernie, bo pierwszy raz zobaczył łzę... było to coś tak niezwykłego, że zerwał okiść mchu, na której łąza błyszczała jak kropla rosy, i długo ze zdumieniem przypatrywał się jej tęczowym blaskom... Od tego czasu poczęły się z Gotfrydem dzieć dziwne rzeczy... jakaś tęsknota gryzła mu serce... błądził po puszczy, skarżył się drzewom, trawom i kwiatom, w duszy czuł jakąś muzykę cudowną, dla której szukał uzewnętrznienia. I wtedy po raz pierwszy począł ś p i e w a ć... Z piersi jego wyrywały się jakieś tony długie, rzewne, przeciągłe, podobne do jęku wichru albo do ryku zwierząt w księżycowe noce, a las chłonał w siebie ten dziwny śpiew i szumiał, jakby zdziwiony i zaniepokojony tem, co się działo z Gotfrydem. A nawet snów nie miał spokojnych... ledwie przymknął powieki, ukołysany szmerem monotonnym lasu, rozpoczynały się majaki i wizye. Raz zdawało mu się, że tuż około jego głowy zeskakuje z traw jakiś gnom brodaty i szepcze mu do ucha dziwne i tajemne opowieści, od których ciało jego zaczyna płonąć jak węgiel, to znów przeciągały przed jego oczyma dziwaczne korowody kwiatów z ludzkimi twarzami, a tuż nad uchem zawisła niewidzialny komar i uderzał w długi, monotonny ton, który przeszywał mu serce jak gładka stal, wreszcie zjawiała się słoneczna wizya rycerza-kobiety, z pożogą słoneczną na puklerzu i całym rozpędem kopyt końskich waliła wprost na

jego piersi. Zrywał się wówczas, przecierał oczy i dopiero, gdy ujrzał tuż nad sobą złociste gwiazdy, zaplątane w gąszcz leśną, i usłyszał znany mu tak szum ukochanych drzew nad głową — uspokoiony przymykał znów senne powieki.

Pewnego dnia Gotfryd zabłąkał się znowu w okolice zamku. Nieruchome, czerwone jego mury przeświecały jak rdzawa plama przez morze zieleni. Była cisza... zachodząc, słońce zniżało się zwolna za linię boru... szczyty drzew paliły się jak pochodnie od jego krwawych promieni... dołem, przy obrośniętych mchami korzeniach drzew snuły się białe, puszyste pasma mgieł, strzępiły się o trawy i paprocie, przelewały się w kielichy kwiatów i kapturki grzybów i zwolna, niewidzialnie wzbijały się w górę... Na samym środku nieba, przebita nawskróś purpurową strzałą słońca, przekwitała w przestworzu biała nieruchoma chmurka... Była ogromna cisza... skamieniały drzewa, znieruchomiały trawy, zamilkły ptaki i owady... A chmurka, pijana słońcem, różowa od jego ognistych pocałunków, wsiąkała bezgłośnie w błękit. Gotfryd położył się na wznak na miękkim mchu i czekał zejścia pierwszej gwiazdy. W tej chwili zadudniła głucho ziemia i tentent kopyt końskich przełamał ciszę. Gotfryd ukrył się za pień drzewa i wyteżył wzrok... Pod mury zamku zbliżał się konny rycerz... Niebieski płaszcz spływał mu miękką falą na ramiona, długie, trefione w pierścieńce włosy okalały bladą, szlachetną twarz, w rękach trzymał jakiś dziwny przedmiot, o siedmiu błyszczących strunach. Tuż pod murami zamku zatrzymał się, zeskoczył z konia, przywiązał rumaka do pnia drzewa, i odrzucił na ziemię miecz i kapelusz z białym pióropuszem. A potem z odkrytą głową podstąpił pod same mury zamku, wyciągnął przed się przedmiot o siedmiu złotych

strunach i położył na nich palce. Wówczas stało się coś dziwnego... słodki, jedyny, niczemu niepodobny dźwięk wykwitł z pod palców rycerza, wbił się długą, złocistą strzałą w znieruchomiałą ciszę leśną, zadrgał bolesnym echem i zagaśł bez śladu gdzieś u wierzchołków drzew... A potem ozwał się drugi, jeszcze piękniejszy, jeszcze dziwniejszy... zadzwonił długo przeciągle, rozkołysał fale powietrza i nabrzmiały dźwiękiem wzbil się jak ptak w przestwór... samotna chmurka zapłonęła purpurą od szczęścia, kilka liści u samych wierzchołków poruszyło się niespokojnie z niemego zachwyty... dwa nieruchome dotąd dzwonki polne, rosące u stóp Gotfryda, w niemej ekstazie padły sobie w objęcia. W tej chwili ze złotych strun lutni wykwitła kaskada dźwięków, huczna i dzwonna, rozkołysała ciszę, napełniła swą treścią niebo i ziemię i rozbijała się o nieruchome mury zamku. A rycerz w takt grających strun począł śpiewać:

»Z dalekich stron, przez znój i trud

»Elzo! Elzo!

»Z dalekich stron mnie rumak wiódł —

»Poza mną, żona, więzy święte,

»Dzieci mych rączki wyciągnięte...

»Elzo! Elzo!

»Przez morze łez, przez ból i krew,

»Ja błędny rycerz niosę śpiew

»O Elzie najpiękniejszej z dziewczek«.

»Wiem, że kamienne serce masz

»Elzo! Elzo!

»Lecz pozwól spojrzeć w swoją twarz

»Niech cudem duszę rozpłomienię,

»A potem rzuć mię w lochu cienie

»Elzo! Elzo!

»Z więzienia krat, przez ból i krew

»Do komnat twych poleci śpiew
»O Elzie najpiękniejszej z dziew«.

»A gdy nie wrócę do mych stron
 »Elzo! Elzo!
»Gdy postanowisz dla mnie zgon —
»Ginąc będę cię błogosławił,
»Żem światu cudną pieśń zostawił
 »Elzo! Elzo!
»Bo na mym grobie każde z drzew
»Będzie ci nocą szumieć śpiew
»O Elzie najpiękniejszej z dziew«.

W tej chwili las począł szumieć... jęły struny lutni szarpnięte ostatnim bolesnym akordem i tony ballady skonały w coraz to rozlewniejszym, coraz to potężniejszym szumie rozmodlonych drzew... A śpiewak stał jeszcze długo, z oczyma wzniesionymi w górę, z palcami na strunach lutni, oblany pożogą zachodzącego słońca i słuchał, jak pod zaklęciem jego pieśni rodziły się gdzieś na chmurach złote światy, pełne aniołkowych twarzy i niespokojnych migotań gwiazdnych... Gotfryd, ukryty za pniem drzewa, z duszą zamarłą z zachwytu łowił nieznanne mu dotąd, boskie dźwięki lutni, na którą patrzył nieustannie, jakby zahypnotyzowany połyskiem złotych strun... Nie rozumiał słów ballady, lecz czuł, co znaczy ta pieśń... oto znalazł nareszcie uzewnętrznienie swej męki i tęsknoty miłosnej... I znowu rozgrała mu się dusza, jak ten las szumiący, a pieśń rycerza napięła strunę jego tęsknoty aż do najwyższych granic... Jak zwierz raniony pod serce ukrył się w niedostępnych ostępach leśnych, aby w tajemnym obcowaniu z przyrodą zagłuszyć huczący huragan uczuć... Lecz echo pieśni błędnego rycerza biegło za nim w ślad, wiło się złocistą taśmą nad jego głową, przenikało najgęstsze mroki leśne, czało się

wśród traw i pod liśćmi, rozbijało się o gwiazdy i okalało go bolesnym pierścieniem... Czuł, że tak, jak ów błądzący rycerz tylko w pieśni znaleźć może ukojenie... lecz brakło mu cudnego instrumentu o złotych strunach, z którego rodziły się te słodkie, wszystko przenikające dźwięki... I wtedy przyszła mu myśl, która zawładnęła całym jego jestestwem... Rosła w pewnej części lasu młoda, nienagannie biała brzoza, nachylona ku ziemi i z kształtu podobna do lutni rycerza. Gdy pierwszy raz dostrzegł to podobieństwo, popadł w szalony zachwyty... więc stworzył sobie wreszcie ten boski instrument do wtóru, o którym marzył jak w gorączce. Brakło mu tylko strun, rodzących dźwięki... Wiele dni przemyślał Gotfryd, zanim potrafił stworzyć coś podobnego do struny... trawy, związane razem, rwały się wciąż i nie oddawały dźwięku, cieniutkie pręty wiklin wydawały lekkie brzęczenie, lecz głuche, niepodobne do tonu, misterne nitki pajęczyn leśnych, z których wiał mozolną pracą długie sznury, za łada podmuchem wiatru rozwiewały się bez śladu. Wreszcie z jelit jelenia, którego znalazł bez życia w gąszczu leśnym, uwił siedm mocnych, dzwoniących strun, które były zupełnie podobne do tych wymarzonych. Bezzwłocznie zabrał się do dzieła. Struny te uwiązał jednym końcem do pochyłego pnia brzozy, drugim zaś końcem przymocował drewnianymi kołeczkami do ziemi. Było już blisko zachodu, gdy ukończył tę żmudną pracę... Stała przed nim dziwna brzoza-lutnia, o siedmiu naciągniętych strunach i czekała na pierwsze narodziny dźwięku, stała nieruchomo, ze zwieszonymi martwo listkami, jakby bała się poruszyć gałązkami. Gotfryd, z bijącym sercem przypatrywał się jakiś czas swemu dziełu, a potem lekko, nieśmiało położył ręce na strunach. Lecz dźwięk się nie rodził a lutnia milczała.

Wówczas Gotfryd ukląkł na ziemi i z twarzą zwróconą ku gwiazdom począł się modlić, niebu i ziemi, wichrom i lasom zasyłając prośbę o cud. I stało się... wietrzyk-swawolnik, uśpiony wśród traw, zaszemrał sennie, poruszył źdźbła traw, a potem wzbil się lekko w górę i musnął swem niewidzialnem skrzydłem pierwszą strunę... Zadrzała i w ciszy zakwitł długi, wszystko przenikający dźwięk. Z piersi Gotfryda wydarł się okrzyk radości... A wietrzyk-swawolnik powrócił do swych traw, pobudził śpiących towarzyszy i obwieścił im wieść radosną. Więc porwały się ze swego łoża, a kołując wokół lutni-brzozy poczęły raz po raz trącać naciągnięte struny. Cudna, przesłodka muzyka przeniknęła ciszę leśną. Zaszumiały drzewa, zadziwione tą pieśnią białej płaczki brzozy. I podawały drzewa jedne drugim niezwykłą wieść o śpiewającym cudzie i wnet po całym borze rozległ się niespokojny, przeciągły szmer przebudzonych drzew: co to? co to? co to?... Szum ten, wplątany w granie trącanych wiatrem strun, tworzył jakąś przeogromną symfonię, że aż gwiazdy, wiszące nisko nad wierzchołkami drzew, poczęły zniżać się ku ziemi i zaplątane w gąszcz leśną błyszczwały wśród gałęzi, jak złote lampki. A Gotfryd, dumny ze swego dzieła, z duszą nabrzmiałą od nadmiernego szczęścia, przy wtórze grającego lasu począł śpiewać swoją pieśń miłosną:

»O szczęściu bladych kwiatusków, wykwitających na jeden dzień w cieniu paprotnym pod pocałunkami słońca...

»O słodkiej tajemnicy ostępów, oprzędzonych srebrno-zieloną poświatą miesiąca...

»O zamieraniu łun zachodzącego słońca na rdzawych powierzchniach jezior leśnych...

»O majestatycznym szumie boru o zachodzie słońca...

»O wielkiej ciszy, co z palcem na ustach, w chusty z mgieł srebrnych strojna,

przepływa ciche borów uroczyska i wsiąka w mroczną dal, pozostawiając po sobie postrzępione smugi z mgły wśród gałęzi...

»O zaklętym rycerzu-kobiecie, co pożar słońca ma na puklerzu...

I niewiadomem było, czy to śpiewa tęsknota ludzka czy tajemnicza, mroczna dusza lasu... Niezmierna duma napęliła serce Gotfryda... Czuł, że nic na świecie nie jest równem jego pieśni miłosnej i że żadna lutnia o złocistych strunach nie może pójść w zawody z jego grającą brzozą-płaczką. A późną nocą, kiedy znużony i wyczerpany usnął na mchu, objąwszy rękami srebrne stopy grającego drzewa, poczęła się około brzozy zaklęta godzina czarów i dziwowisk. Ze wszystkich stron lasu poczęły się schodzić tłumnie elfy, gnomy, krasnoludki, na trawie pod cieniem brzozy zawiodły taneczne kręgi i wiły się z radosnym chichotem przy dźwiękach grającego drzewa. Nadciągnęły korowody grzybów, strojnych w kolorowe kapelusze, dostojne stare muchomory, figlarne purchawki, czerwony zastęp rydzów i pośledni szary tłum podpienków. Polana zaroiła się od tysiąca stworzeń i istot nigdy niewidzialnych, zamieszkujących dziupła próchniejących drzew i niedostępne ludziom uroczyska. Nawet stuletnie dziki i jelenie, przywlokły się ze swych przedśmiertnych leż i słuchały z wzrokiem lśniącym od leż przedziwnej muzyki Gotfrydowej lutni, trącanej wiatrów wieczornych podmuchem. A brzoza, przypatrując się tym tajemnym obrzędom, drżała z dumy i szczęścia, że tak bardzo jest wyróżniona i nad głową śpiącego Gotfryda szumiała cicho a kojąco srebrnymi listeczkami... Nadchodził świt... blady, zapłakany rosą, pogasił światła, starł gwiazdy, owijał las cały pasmami mokrych mgieł. Skończyło się święto duchów, posnęły wiatry, umilkła grająca brzoza...

W tej chwili gdzieś daleko, po drugiej stronie boru rozległ

się bolesny jęk strun, szarpanych wiatrem. Gotfryd zerwał się ze snu i całą duszą zamienił się w słuch. Tak! to grała w szumie drzew druga jakaś lutnia, podobna do jego siedmiostrunnej brzozy, lecz stokroć piękniejsza stokroć wspanialsza...

Jakiś czar i nieziemska groza biła od tych dźwięków, które niosły się po lesie, wmieszane w szum drzew... Jak nikłem, jak nieudolnem wydało mu się nagle słoneczne dzieło jego życia, jak mizernem brzęczenie strun jego lutni. A tamta grała:

»O smutku drzew w jesieni, płaczących łzami powiędłych liści,

»O beznadziejnym łkaniu wichru wśród nagich gałęzi

»O umieraniu cudnych kwiatów-nadzieji, kwiatów marzec,

»O liliach wodnych, co pochylone nad rdzawą wodą ujrzały nagle na jej powierzchni odbicie bladego widma ze srebrną kosą, przepływającego nad wierzchołkami drzew i powiędły przez noc jedną, otrute jadem...

»O upiornej ciszy ostępów leśnych, kiedy liście, trawy i kwiaty słuchają, jak w mrokach nocy rodzi się zbrodnia...

»O wielkiej krzywdzie i rozpaczcy zmarnowanego życia, co ze zszarganymi skrzydłami wlecze się przy ziemi i łka pocichutku...

Duszę Gotfryda załża rozpacz... ktoś wydarł mu jego tajemnicę, ktoś podpatrzył i ukradł mu pomysł napięcia strun o konar drzewa. Lecz tamta druga pieśń stokroć piękniejsza od jego hymnu młodości, b o s m u t n a smutkiem końca, przekwitu i śmierci. Rzucił się w tę stronę, z kądem dochodził go dźwięk tej drugiej lutni, przebiegł jak raniony zwierz wielką przestrzeń lasu, przedzierając się przez gąszcze... I kiedy wreszcie dobiegł do miejsca, gdzie rodził się dźwięk, stanął jak skamieniały, z oczyma utkwionymi w jeden punkt... Oto ta druga lutnia, straszliwa, niezapomniana... Na przechylonem drzewie nad ziemią, uczepione włosami do gałęzi, wisiały

nieruchome zwłoki kobiety... Na włosach jej złocistych, wyciągniętych, grał wiatr swą pieśń, jakby na przedziwnej lutni o tysiącu strunach... Po włosach tych, rozrzuconych lśniąca falą wśród gałęzi, poznał Gotfryd królowę swych marzeń i swojej tęsknoty... te same to słodkie włosy, które niegdyś wymykały się z pod błyszczącego hełmu rycerza-kobiety kiedy jak błyskawica na czele swego orszaku spadła na kupiecką karawanę... te same to słodkie, biedne, sponiewierane włosy-struny... O straszna, nieszczęsna lutnio!... o biedne, nieruchome zwłoki! Gotfryd zbliżył się do grającego drzewa i drżący od lęku spojrział... pierwszy raz spojrział w twarz kobiety... lecz kiedy ujrzał tę twarz przenajświętszą, kiedy spotkał się ze spojrzeniem martwych szklanych źrenic, w których odbijały się pierwsze mleczone blaski zapłakanego świtu, w piersi jego pękła jakaś serdeczna, naciągnięta już do ostatnich granic struna, z gardła wydarł się jeden tylko, krótki, przeraźliwy okrzyk zgrozy i Gotfryd runął martwy na ziemię...

A nad zwłokami jego szumiał tajemniczo przerażony las i grały dwie sieroce, opuszczone, dziwne lutnie-brzozy.

ŚMIERĆ.

Żonie mojej poświęcam.

Nigdy w życiu nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie zrobiła śmierć pewnej osoby blizkiej, nawet bardzo blizkiej i drogiej. Śmierć stawała już często na drodze mego życia. Straciłem matkę, osobę, o której po tylu już latach nie mogę wspomnieć bez tego przykrego ściskania w sercu, jakie się odczuwa w chwili pożegnania z kimś bardzo ukochanym, przyjaciela serdecznego, prawdziwego towarzysza złych i dobrych godzin, straciłem narzeczoną, słodką i dobrą dziewczkę, panią „jasnych oczu i cichego serca“, której miękka dłoń, gdy w jakiejś niewymownej pieśczoście na włosach mych się pokładła, stawałem się sam dobry i cichy, jak powierzchnia stawu w pogodny, zadumany wieczór letni...

Lecz nigdy dotąd ostry szpon śmierci nie wrył się tak boleśnie i tak głęboko w mą duszę, nigdy nie zdawała mi się ona tak okrutną i niepojętą zagadką, wobec której myśl moja cofała się z tępem przerażeniem i dziką odrazą.

I wiem już poniekąd, czem sobie tłumaczyć tę różność odczuwania. Gdy jest się przy łożu chorej osoby, gdy śledzi się cały przebieg choroby, powolutku choć ciężko zżywamy się z myślą o tem niewytłumaczonym odejściu „gdzieś“ i „na tamtą stronę“.

I śmierć ta, która wreszcie po długich dniach męki, litośnie zamyka na wieczny, nieprzespany sen oczy cierpiącego, nie wydaje się nam czemś straszmem, ale raczej tą dobrą koicielką,

do której tak pięknie modliła się dusza znużonego życiem
poety:

O przyjdź jesienią!
W chwilę zmierzchu senną, niepewną,
I dłonie
Swe przejrzyste, miękkie, woniejące
Na cierpiące
Połóż mi skronie
O śmierci...

A było to tak. Siedziałem w kawiarni przy czarnej kawie, z tępą i bezmyślną osowiałością wsłuchując się w stukanie kul bilardowych. Chłopak kawiarniany położył jak zwykle na moim stoliku numer świeży jakiegoś dziennika. Niechętnie i z przyzwyczajenia począłem przebiegać oczyma szpalty pisma. I nagle przy samym już końcu w telegramach znalazłem coś, co przykuło mój wzrok i duszę do tego malutkiego skrawka zadrukowanego papieru. Jedno lapidarne, krótkie zdanie, bez komentarzy i objaśnień, parę czarnych kresek na białym papierze, pozornie nic nie mówiących ciekawego, prosta dziennikarska notatka. Nie padł ofiarą zamachu anarchistycznego żaden panujący, żaden gabinet europejski nie upadł, nie spadły kursa, ani nie zanosilo się na wojnę, tylko po prostu: P a r y ż. 1 2 l i p c a. Elwira Korzewska umarła wczoraj wieczorem.

Istotna treść tych krótkich czterech słów była dla mnie czemś tak niepojętem, tak dalece nieprawdopodobnem i niemożliwem, że choć serce poczęło się tłuc niespokojnie ze wzruszenia, przeczuwając jakieś nieszczęście — świadomość z jakąś jakby rozmyślną leniwością odsuwała od siebie istotne zrozumienie słów telegramu, na którym już od 10 minut

zawisło nieruchomo moje spojrzenie.

I rozpoczęły się wykręty myśli: ten telegram jeszcze nie mówi nic pewnego. Przypuśćmy, że powstała pomyłka druku, co zdarza się tak często, że zecer przeczytał źle jedną lub dwie maleńkie litery nazwiska. A imię... to znowu rzecz przypadku... przecież nie jedna kobieta na świecie nosi imię Elwira. Zresztą to niemożliwe... korespondowaliśmy ze sobą... byłbym otrzymał jakąś wiadomość o poprzedniej chorobie... byłem przecież zaliczany do jednego z najbliższych.

Lecz równocześnie ściskanie w sercu wzmogło się i jakiś głos serdeczny wołał coraz natarczywiej, coraz wyraźniej: przebóg! pani Ela umarła, piękna pani Ela umarła! I zrozumiałem wszystko... ostatnie, słabe złudzenie prysło... nie było w tem żadnej pomyłki... brutalny, niezrozumiały dla mnie fakt śmierci wyłonił się z mroków z niewątpliwą wyrazistością... Elwira Korzewska umarła!

I przyszedł wówczas dopiero ból mocny i nienazwany, huczący jak huragan potępieńczym jękiem, pochwycił duszę mą w serdeczny uścisk i począł kąsać i gryźć serce aż do bezsilnego skowytu. Przeleciał jak burza przez mą istotę, powalił bajeczne gmachy tęsknot i marzeń, wyrwał z korzeniami serdeczne kwiaty cichych obłocznych snów i wymiótł z mej duszy wszystkie uczucia, nadzieje i wrażenia. Uczułem wówczas w pewnej chwili jakąś przeraźliwą, duszącą pustkę, w której jeden tylko pozostał dźwięk, jeden wykrzyk obłąkanej rozpaczy: Ela umarła! Ela umarła!

I zrozumiałem po raz pierwszy, jak drogą mi była ta, która odeszła tak nagle, bez jednego słowa pożegnania, porwana z pośród młodego, bujnego, rwącego się ku gwiazdom życia, chciwą, bezlitosną dłonią śmierci-niszczycielki.

Zawłokłem się do domu... odczuwałem potrzebę samotności... raził mnie widok obojętnych, wesołych, zajętych swymi sprawami ludzi. Z szuflady biurka wyjąłem pęk listów... były to listy od niej... rozwiązałem sznurek... rozsypały się przedemną wszystkie bladoróżowe, niebieskie, białe, pisane w chwilach dobrych i złych, rozsypały się przed moim wzrokiem, jak zwiędłe kwiaty wspomnień, jak pieśni zapomniane, powracające w duszę przeciągłem, smutnym echem.

Począłem je przerzucać po kolei, a w duszy rodziły się obrazy, chwile przeżyte i czucia zapomniane, odrywały się gdzieś z mrocznych głębi i wypływały na powierzchnię, niby kwiaty wodne leśnego, rozmarzonego jeziora.

A więc najpierw ta pierwsza kartka, pisana z podróży — „Jadę... tak smutno... jesienny deszcz dzwoni o szyby wagonu... źle mi... zły duch włóczy się za mną“...

A dalej ten list jasny, spokojny, pisany w chwili zrównoważenia ducha: „Drogi Panie! Na list Pana nie odpowiadałam tak długo — czemu? Sama nie wiem. Czasami miałam wprost niepohamowaną chęć rzucenia mych myśli na papier, myśli, które rozpierały mi duszę — jednak wstrzymałam się. Czekam z upragnieniem chwili wyjazdu Pana do Florencji — będzie mi Pan bliższym, potrafię pisać szczerze. Wyzwoli się pan z tych martwo-sennych objęć kraju, stanie się (dla mnie przynajmniej) istotą nieżyjącą dla przeszłości i terażniejszości, lecz dla przyszłości, więc swoją, tak bardzo swoją. Może się źle wyrażam — nie potrafię często ubrać w słowa tego, co myślę i czuję. Pozbyłam się różnych jednodniowych przyjaźni. Czuję się sama, w znaczeniu dobrem — stoję i idę sama, więc dojść muszę“...

Wreszcie ten ostatni przesmutny list, po którym przez cały

czas nie przysłała ani słowa wiadomości o sobie: „Wtorek — w nocy. Późno już bardzo... nie mogę spać; tyle myśli błąka mi się po głowie, tyle wspomnień już przebrzmiałych — zda mi się, że zarzucił mnie ktoś nagle masą na pół zwiędłych kwiatów. Pachną mniej, inaczej jak świeże, a jednak zapach ich wdraża się w duszę, mózg, krew. Piszę dziś, bo muszę pisać. Prawie, że fizycznie czuję potrzebę pisania tego listu. Pan o mnie myślał w tych dniach? Może... chciał myśleć. Czy pamięć dni jesiennych tak cudnych już zatarta? Dużo, dużo złych chwil, dużo myśli gryzących i niepokojów. P. S. Mam przecucie, że do kraju nie wrócę nigdy... nigdy“...

I zwolna, wyczarowane tymi listami, poczęły w duszy rodzić się obrazy minionych dni szczęścia. Stał znów żywo przed oczyma wyobraźni ten mały, cichy salonik p. Eli, z pianinem w kącie, ze stolikiem zarzuconym książkami, z flakonami świeżych kwiatów po wszystkich kątach, które rozlewały w małej przestrzeni słodką, omdlałą woń. Cichy, spokojny kąt, przesiąknięty atmosferą kobiecości, gdzie przeżyliśmy wspólnie tyle długich, rozkosznych wieczorów, ja, p. Ela, no i... Żarski.

Tak Żarski musiał być wszędzie... jakieś fatum rzucało tego człowieka na drogę mego życia... w najważniejszych chwilach zjawiał się najniespodziewaniej przy moim boku, psuł mi moje najcudniejsze plany, rzucał szary, grobowy cień na jasne jutrznie mego szczęścia. Ile razy zaczynało się nawiązywać coś pięknego między mną a kobietą, ile razy pod wpływem poezji i muzyki jęły się otwierać subtelne pęki uczuć górnych i gwiazdnych — przychodził Żarski, spokojny, zrównoważony, zimny, ze swoim rozumem, głębokiem, martwym spojrzeniem, z sarkastycznym uśmiechem świadomości złego i

dobrego i mroził moje młode, fantastyczne porywy. Jego spłowiące, wyblakłe oczy zdawały się mówić: „Hola przyjacielu! chciałeś rwać się do gwiazd bezemnie, chciałeś przeżyć bezemnie tyle dobrych chwil. Nic z tego... będziemy razem prowadzić tę dziwną grę życia... jesteś mi potrzebny... niezbadane są drogi, po których chodzi dusza ludzka“.

Żarskiego nie lubiałem serdecznie, były nawet chwile, w których nienawidziłem go, a jednak czułem, że człowiek ten wywiera jakiś tajemniczy wpływ na moje losy, że chcąc nie chcąc bezwiednie ulegam jego działaniu, że trzyma on niewidzialną dłoń na mojej woli i kieruje wszystkimi moimi czynami. Zresztą stosunek jego do p. Eli nie dawał mi nawet powodu do zazdrości. Żarski był zawsze zimny, spokojny, z uczuciami krył się starannie. Najczęściej drwił sobie ze wszystkiego i wszystkich, albo znowu popadał w jakiś stan tępej melancholii.

Raz tylko... lecz to było zapewne przewidzenie... grałem Chopina... Żarski i Ela siedzieli na kanapie, zasłuchani w melodyę — cud sonaty f-moll. W ślnięcej czarnej tafli pianina odbijały się niewyraźnie ich sylwety. I wówczas w pewnej chwili zdawało mi się, że sylwety na pianinie połączyły się ze sobą, jakgdyby w długim bezgłośnym pocałunku. Lecz to było zapewne tylko przywidzenie, majak mojej rozbującej fantazyi.

A p. Ela umiała przedziwnie słuchać Chopina. Błada jej twarz zastygała wówczas w jakimś jednym, nieskończenie pięknym wyrazie, niby półuśmiechu, niby pół-zdziwienia, na rozchylone usta padał rozkoszny cień ekstazy, a oczy, te głębokie, jasne, koloru morza oczy patrzyły w jakiś punkt odległy, jakgdyby dopatrywały się tego najwyższego, jedyne go tonu, po którym już serce pęka...

Albo ten nasz ostatni spacer w parku... pamiętam każdy zakręt aleji, każdy wyraz jej twarzy, każde słowo rozmowy. Godzina była przedwieczorna... na szczytach smukłych sosen paliły się ostatnie pocałunki zachodu. W przeczystem powietrzu, na tle wyblakłego nieba rysowała się przedziwnie misterna koronka gałęzi, szczytów, liści. Każda grupa drzew i krzewów wiodła w innych kolorach. Lecz wśród tylu barw i odcieni, wśród czarnej zieleni sosen i szarego tła krzewów, najsilniej odrzynały się drzewa octowe, niby krwawy ostatni okrzyk konającego lata, niby gorączkowy, schorzały rumieniec suchotnika. Szliśmy aleją, zasłaną zwiędłymi liśćmi... dusze nasze przepęłniał po brzegi cichy smutek konającego dnia... nie był to ten smutek szarpiący serce, ale jakiś dobry, kojący, bezgłośny... P. Ela mówiła o swych planach... o pracy, jaka ją czeka za granicą, o ciężkich chwilach, jakie będzie musiała przeżyć na obczyźnie. W pewnej chwili rzekła:

— „Pociąga mnie to życie huczące, niespokojne, zmienne, pociąga mnie, jak ciemny brzeg przepaści. Duszę mam wiecznie niesytą, coś mnie pędzi i gna naprzód, jakieś ogniki migocą mi w dali. Rwę się do tego nieznanego, co mnie czeka na końcu drogi, wyciągam stęsknione ramiona do złotej, górnej przyszłości... I muszę być wielką artystką... dławi mnie wszelka miernota... A jeśli osiągnę cel mój, jeśli świat cały ugnie kolana przed moją sztuką, jeśli potrafię uchwycić ten ostatni, najwyższy ton piękna“...

— „Cóż wówczas?“ spytałem.

— „Wówczas powrócę i będę twoja“ powiedziała cicho a słowa te padły w moją duszę, jak najcudniejszy posiew szczęścia.

I zakwitły w niej przedziwne kwiaty, purpurowe maki i

blade lilie, posiew krwi i posiew tęsknoty.

I wszystko to skończyło się... nigdy już, nigdy nie ujrzę twych jasnych oczu koloru morza, bo zgasły jako dwie gwiazdy w mrokach, nigdy nie ujrzę twej bladej twarzy, ni twoich ust rozchylnych... bądź zdrowa... bądź zdrowa...

Zebrałem wszystkie listy, schowałem je w głębi szuflady i wyszedłem z domu. Bezwiednie prawie skierowałem swe kroki w stronę mieszkania Żarskiego... jakiś przymus wewnętrzny kierował moimi czynami... Nie wiedziałem dobrze, co powiem Żarskiemu, jakim będzie nasze spotkanie, lecz czułem, że muszę się z nim widzieć.

Było już późno... po ciemnych schodach wdrapałem się na trzecie piętro i zadzwoniłem do wiadomych drzwi. Nikt mi nie otwierał. Porwała mię złość dzika... począłem z całej siły tłuc pięściami w drzwi. Po chwili otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju i jakiś głos szorstki zapytał z ciemności:

— „A cóż to pan się tak tłucze... czy pan nie myśli uszanować snu spokojnego obywatela, który jest ponadto właścicielem tej kamienicy“? — „Szukam pana Żarskiego... muszę z nim zaraz widzieć się... rzecz niecierpiąca zwłoki“...

— „Niestety... daremnie się pan trudzi... pana Żarskiego niema w domu i...“

— „Wyjechał?“

— „Tak... wyjechał dziś do Paryża“.

*

*

*

Upłynęło parę miesięcy. Czas, lekarz najsędziwszy, dotknięciem swoich mądrych rąk zabliznił rany serdeczne... O

p. Eli Korzewskiej myślałem często, lecz obraz jej niedawno jeszcze tak przenikliwy, wyraźny i żywy — oddalał się, bladł, zacierał w pamięci, aż wreszcie pozostało w duszy nikłe wspomnienie-echo, wspomnienie-tęsknota o barwach wyblakłego gobelinu. Ot zwykłe dzieje słabej, wrażliwej natury człowieczej.

Pewnego dnia dostrzegłem w kawiarni Żarskiego. Serce uderzyło mi w żywszy rytm. Od czasu wyjazdu do Paryża nie spotkałem go ani razu. A on przecież był na miejscu katastrofy, znał zapewne wszystkie szczegóły tej niespodziewanej śmierci, o której nikt w mieście nie wiedział nic bliższego.

Przysiadłem się do jego stolika. Już miałem na ustach słowo, zapytania, lecz kiedy ze wzrokiem moim spotkało się zimne spojrzenie jego zgasłych, niepokojących oczu, gdy na ustach Żarskiego wykwitł ten sarkastyczny, rozumny pół-uśmiech, którym dał mi do zrozumienia, że wie już naprzód, czego od niego chcę i o co go pytać będę, skierowałem rozmowę na tory obojętne i inne, niż to było pierwotnie w mym planie. Uśmiech nie schodził z twarzy Żarskiego. W pewnej chwili rzekł:

— Jak to dobrze, że przyszedłeś... dzisiaj mój dzień... muszę się upić... a upijać się samemu, to tak smutno... nie puszczę cię tak prędko od siebie“.

Kazał podać wódki. Widocznie chciał mię ośmielić. Wiedziałem, że między nami musi przyjść dzisiaj do tej rozmowy. Lecz odwlekałem umyślnie jej rozpoczęcie.

Z kolei kazałem i ja podać wódki. I tak na przemiany, na mój albo Żarskiego rozkaz, zjawiały się pełne kieliszki a myśmy wypróżniali je z jakąś pijacką pasją, mało mówiąc, wsłuchani w odgłosy muzyki wojskowej i w gwar nocnej

kawiarni. Nie wiem jak długo to trwało, ale po kilku godzinach na bladą twarz Żarskiego wystąpiły gorączkowe wypieki, a w oczach jego zakwitły tajemnicze błyski. Ja miałem również dosyć. Elektryczny świecznik począł w mych oczach dostawać jakichś potwornych, wykrzywionych kształtów, aż wreszcie wraz z całą salą, bilardami i lampionami jał się obracać tanecznym kołem.

Wyszliśmy z kawiarni. Długi czas nie mówiliśmy do siebie ani słowa. Przed mieszkaniem Żarskiego zatrzymaliśmy się w niepewnym, chwiejnym świetle latarni. Żarski pociągnął za dzwonek i obróciwszy się do mnie, rzekł:

— „Wstąpisz do mnie na górę... mam ci wyznać wielką tajemnicę“.

Weszliśmy na górę. Nie potrafię opisać moich uczuć w tamtej chwili. Była to chorobliwa ciekawość, gorączkowe oczekiwanie, pomieszane z jakimś tajemniczym lękiem. Żarski zapalił świecę, której niepewne, żółte światło zaczęło rozpędzać mrok nocy. Chwiejny jej promień padł na duży portret, zawieszony nad łóżkiem. Z portretu spojrzały na mnie, jakby żywe, te dobre, znajome oczy, koloru morza i wyblęśła blada twarz p. Eli. Nie jestem tchórzem, ale w pewnej chwili chwycił mię taki obłąkańczy lęk, że chciałem rzucić się ku drzwiom i uciec daleko od tego szarego pokoju, który zdawał się być siedliskiem duchów...

Żarski tymczasem wyjął dwa kieliszki, napełnił je likierem i usiadł naprzeciw mnie. Stracił swój zwykły spokój. Z niespokojnych ruchów widać było, że był bardzo podniecony. Uderzył w mój kieliszek. Wypiliśmy. Wówczas nachylił się i wyszeptał mi, tuż nad uchem, stłumionym głosem, jakby bał się dźwięku swych własnych słów:

— „Ela Korzewska nie umarła... Ela Korzewska żyje...”

I nastąpiła chwila doskonałej ciszy. Przez duszę moją przeleciał huragan myśli, uczuć, wrażeń. Poczęły się gonić, ścigać w piekielnym korowodzie, jedna myśl rodziła tysiące innych, jeden obraz wyczarowywał dziesiątki innych. Wtuliłem się w siebie, jak człowiek uderzony zniecka obuchem w głowę. Nie wiem jak długo to trwało... minutę, godzinę, czy wieczność. Pozostały mi tylko w pamięci dwa dźwięki, które zrodziła chwila ciszy: monotony łoskot zegarka w kieszeni kamizelki i cichy, senny brzęk much na suficie. A Żarski ciągnął dalej:

— „Gdy w ten dzień pamiętny wyczytałem wiadomość o śmierci p. Eli, ani przez jedną chwilę nie mogłem uwierzyć w jej możliwość. Nie miałem żadnych danych, fakt sam w sobie był całkiem prawdopodobny. Ileż to ludzi umiera niespodziewanie. A jednak odrazu w duszy mojej zrodziło się jakieś niejasne podejrzenie, cień cienia, tajemna myśl — przecucie. Potrzebowałem dowodu jej śmierci, dowodu ponad wszelką wątpliwość, musiałbym chyba położyć ręce na zimną twarz trupa, posłuchać czy serce nie kołace w martwej piersi, ażeby uwierzyć.

Popędziłem najbliższym pociągiem do Paryża Wiedziałem, że nie złapię już pogrzebu. Mogłem być na miejscu dopiero czwartego dnia wieczorem. Ale, myślałem, przynajmniej dowiem się coś o jej ostatnich chwilach, odwiedzę samotny grób na obczyźnie. Gnał mnie jakiś gorączkowy niepokój. Najszybszy express wydawał mi się powolnym, jak chód zółwia. Niepokój mój rósł w miarę, jak się zbliżałem do Paryża. Nie jadłem, nie piłem, nie spałem. Zmieniłem się w potargany strzęp nerwów. Ludzie odwracali się odemnie z

lękiem.

Wreszcie na ciemnym tle nocy wykwitła olbrzymia, nieobjęta wzrokiem łuna świateł, pociąg gwizdnął przeraźliwie, rozległo się donośne wołanie konduktorów: Paris! Paris!! i pociąg z hukiem wjechał na peron.

Nie znasz Paryża. Miasto olbrzym, miasto smok. Połyka cię jak drobne ziarnko piasku. Przygniata, dławi, oszołamia. Czujesz się taki lichy, marny robaczek, takie biedne, zbłąkane w lesie dziecko. Dopadłem dorożki, roztrącany przez wszystkich, rozpychając tłum pięściami.

Kazałem się zawieźć pod znany ci zapewne adres p. Eli. Po dwugodzinnej prawie wędrówce, powiedziano mi, że piękna Polka dawno już tam nie mieszka, że przed pół rokiem przeniosła się do innej dzielnicy, lecz adresu jej nie znają. Listy wprowadzie przychodziły pod starym adresem, lecz piękna Polka przychodziła po nie co parę dni sama i odbierała pocztę. Ostatni raz była przed tygodniem; od tego czasu jej nie widziano...

Byłem zrozpaczony. Jedyne ślad, który mi mógł pomóc w poszukiwaniach, był stracony. Musiałem czekać do rana. I rozpoczęła się nazajutrz ta mozolna wędrówka po Paryżu. Mam dość sprytu, a językiem francuskim władam nieźle. Byłem wszędzie... obszedłem wszystkie szpitale, cmentarze, morgi, domy polskie, w których mogła bywać. Przerzuciłem skrzętnie księgi, w których notuje się każdy wypadek śmierci. Nigdzie nie znalazłem śladu utraconej. Nawet na policji nie znali zupełnie osoby tego nazwiska. Widocznie była zameldowaną pod przybranym nazwiskiem.

Udałem się o pomoc do departamentu tajnej policji śledczej. Oddano na moje usługi łysego człowieczka o

chytrych, lisich oczkach. Ten dowiedziawszy się, że p. Ela uczyła się śpiewać, podał mi adresy kilku słynnych profesorów, u których zwykle kształcą się cudzoziemki. U jednego z nich, sympatycznego staruszka, dowiedziałem się, że Polka, podobna z opisu do tej, którą szukałem, uczyła się u niego śpiewu. Lecz po półrocznej nauce, staruszek, nie chcąc wyzyskiwać sympatycznej i pięknej Polki, otworzył jej oczy, powiedział jej otwarcie, że nigdy wielką artystką nie będzie z powodu rozmaitych wad głosu i doradzał jej, aby porzuciła żmudną drogę sztuki i wróciwszy do kraju wyszła za męża; a jest pewnym, że niejedno serce tęskni za nią i czeka z utęsknieniem jej powrotu. Od tego czasu t. j. od dwóch tygodni nie widział jej więcej. Toteż zdziwił się bardzo, że szukam jej w Paryżu, bo był pewnym, że posłuchała jego szczerzej rady.

Rzuciło to nowe światło na całą sprawę; podejrzenie moje nabierało coraz więcej realnych podstaw.

Nazajutrz rano leżałem jeszcze w łóżku, gdy wszedł służący hotelowy i powiedział mi, że jakiś pan w sprawie niecierpiącej zwłoki pragnie się ze mną widzieć. Kazałem wpuścić. Wszedł mały, łysy człowieczek o lisich oczach, agent tajnej policyi. Już w progu uśmiechał się do mnie z zadowoleniem.

— „No cóż“? zawołałem niecierpliwie...

— „Jesteśmy na tropie... kobieta, której pan szuka“...

— „Umarła?“ krzyknąłem, wstrzymując oddech.

— „Nie! wyjechała z Paryża“...

— „Dokąd?“

— „To jeszcze nie wiadome... lecz to już głupstwo... czy mam robić dalsze poszukiwania... za kilka dni mogę Panu podać dokładny adres... lecz to będzie kosztowało nieco“...

Pokrywałem, jak mogłem, moje wzruszenie, lecz ręce moje,

gdy podawałem agentowi pieniądze, trzęsły się przeraźliwie. A więc żyje, nie omyliło mnie przecucie, prawdziwym było to tajemnicze uczucie, które kierowało moimi czynami.

Począłem rozważać, kojarzyć pojęcia i wyobrażenia, kombinować. Doszedłem do następujących wyników. Po wyznaniu staruszka profesora, runął w duszy p. Eli cały precudny gmach rojeń i szczęścia. Pozostawały jej dwie drogi do wyboru — powrót do kraju, na co nie pozwalała jej duma i ambicya, albo samobójstwo, od którego wstrzymywał ją albo brak odwagi albo uczucia religijne. Policz... od chwili rozmowy z profesorem aż do daty fingowanej śmierci upłynęły dwa tygodnie... To był czas wahania się, zmagania, walki... ileż musiała wówczas wycierpieć jej zraniona dusza...

I wówczas zrodził się ten piękny, jedyny w swoim rodzaju pomysł, ażeby zniknąć na zawsze dla tego świata, z którym łączyły ją jakiegokolwiek węzły. Telegram, który sama sfingowała, mówił prawdę... czyż nie umarła jej dusza, czyż nie pokładły się w grób jej nadzieje? Dla mnie, dla ciebie, dla całego kraju była już umarłą.

Pomysł, co za bohaterstwo, co za odwaga w wątlej kobiecie... wybrała śmierć stokroć gorszą od rzeczywistej, ile cierpienia, ile zawiedzionej dumy było w tej kobiecie, że potrafiła się zdobyć na taki nadnaturalny wysiłek woli. I zrozumiałem przedziwne piękno jej czynu.

Włóczyłem się po Paryżu, otumaniony wypadkami, oddany na pastwę sprzecznych pragnień. Bo z jednej strony sama myśl, że za dni kilka zobaczę p. Elę, że będę mógł rzucić się jej do nóg i całować jej święte stopy — napełniała mię jakimś szalonym krzykiem szczęścia — z drugiej jednak strony, jakieś wewnętrzne uczucie, które się nigdy nie myli, zabraniało mi

szukać jej samotnego schronienia, jej grobu za życia. Czyż miałem prawo psuć piękną linię jej czynu, czyż miałem prawo wskrzeszać umarłą, która z takim bohaterstwem szła na śmierć, z taką perfidią i sprytem zatarła ślady tajemnicy?

Walczyłem ciężko... było to herkulesowe zmaganie się... lecz zwyciężyłem w końcu. A było to największe zwycięstwo, jakie kiedykolwiek odniosłem nad sobą samym. Mój Boże! ale co ono mię kosztowało... zwyciężyłem, ale jak mówi Heine „frag’ mich niemals wie“! Nazajutrz, nie czekając na odpowiedź ajenta tajnej policyi, wróciłem do kraju“...

Zamilkł i zwiesił bezsilnie głowę. Około ust jego osiadł wyraz bezmiernego znużenia. A potem, jakby odpowiadając na moją myśl niewypowiedzianą słowami, dorzucił jeszcze:

— „Gdzie jest p. Ela, w której świata stronie, co czyni, kóż to zbada. Zapewne musiała się ukryć w jakiś zapadły kąt ziemi, gdzie jej nie wysledzi oko ciekawego rodaka. Co czyni, czem się zajmuje, z czego żyje — to tajemnica, która nigdy nie ujrzy światła dziennego. A jeśli kiedyś, znękana życiem, zamknie oczy na wieczny sen w jakimś cichym, zapadłym, nieznanym kącie, jeśli po raz drugi umrze już na prawdę, to ta druga śmierć będzie stokroć słodsza od pierwszej dobrowolnej, jako wytchnienie po długich, gorzkich, ciężkich dniach męki. Niezbadane są drogi, którymi kroczy dusza kobiety...”

B O R A.

(Fragment.)

— „Więc dzisiaj?“ zagadnął niby od niechcienia, unikając jej wzroku.

— „Dzisiaj!“ odrzekła stanowczo. Głos jej załamał się po tem jednym słowie, niby struna, szarpnięta za silnie brutalną ręką. Chwila milczenia, długa, przykra, bolesna. Drżącemi nieco rękoma nalał w kryształowe kielichy, purpurowo-złoty płyn „Vino rosso“, święty cud włoskich winnic, przytulonych do słonecznych zboczy, pod niebem nieskazitelnie lazurówem.

— „Ira! za przyszłość twoją i za przyszłość moją“.

Rozległ się cichy, przeczysty dźwięk uderzonego kryształu, w rozkołysanem winie, gdy podnosili je do ust zakwitły dwa niki, ledwo dostrzegalne światełka.

— „Co to?“ — zapytała zachwycona, odejmując wino od rozchylonych, wilgotnych ust.

Zaśmiał się szczerze, dziecinnie.

— „Wierz Ira... to jesienne, złote słońce, co pokutuje w winie... to jakby zaklęta w płyn dusza włoskiego wina... Ira! pijemy słońce!“

Spojrzał po raz pierwszy w jej blade oczy... spojrzenia ich spotkały się jak dwa przestraszone, trzepocące się ptaki... objęły się niewymówioną miłosną pieśczęcią i zwolna uspokajały się w jakimś cichym a beznadziejnym smętku. Zauważył niezwykłą bladość jej twarzy i kroplę wina na rozchylonych ustach, niby kroplę krwi serdecznej... I wpił się

wzrokiem w tę twarzyczkę bladą, mizerną, tak dobrze znaną, ogromnym, nadludzkim wysiłkiem utrwał ją w pamięci, pieścił się każdym szczegółem jemu tylko znanym, a więc małymi zmarszczkami w kącikach ust, w których leżało jakieś przedwczesne znużenie i uwiąd, niezwykle długimi rzęsami, które rzucały cień nieuchwytny na twarz, kosmykami niesfornych, płowych włosów, z którymi pieściło się słońce jesienne, niby z nitkami szczerego złota... A ona poddawała się też długiej pieszczocie jego źrenic i tylko nerwowe drganie w kącikach ust zdradzało, że jest bardzo wzruszoną... Spojrzał na zegarek... jeszcze trzy godziny do odjazdu okrętu... całe trzy godziny. Ta chwila, która miała nastąpić, wydała mu się eraz tak odległą, tak niejasną, tak niepojętą, że nie odczuwał ani cienia niepokoju.

— „Ira, chodźmy do naszego „molo“. Niezadługo już zajdzie słońce a zachód dziś będzie wspaniały. Słyszysz jak morze dzwoni, jak gra niespokojnie, jakby czekało niecierpliwie na tamtą chwilę“.

Wyszli z hotelu. Mała ścieżyna kamienista, tuż nad brzegiem morza, biała, oblana jaskrawym słońcem, ciągnąca się gdzieś w dal bezkresną aż do tych gór olbrzymich, co niby groźny krzyk wbiły się ostremi iglicami wprost z głębin morza w lazuruwy, nieskazitelnie czysty błękit. Po jednej stronie nagie, popękane, przedziwnie smutne skały, z płatami rudawej ziemi, którą wiatry zwiały w niektóre miejsca, u stóp zaś morze lazuruwe, syczące niespokojnie, rozbijające się białymi pianami o ostre skały, z błękitem nieba zatopionym na dnie, morze-cud, morze-dziwo, w którym przekwitały cudnie wszystkie blaski nieba i ziemi, w oczekiwaniu świętej chwili zachodu! A na nieskończonych, nieobjętych wzrokiem

przestworach morza tkwiło nieruchomo kilka barek rybackich z rozwiniętymi żaglami, oczekujących wiatru, niby białe, olbrzymie ptaki z baśni, zakamieniałe w locie ku słońcu.

Doszli do małego opuszczonego „molo“. Mały domek rybacki ze złomów białego kamienia, z zabitemi okienicami, z zaryglowanymi drzwiami, stojącymi w strzępki potarganych sieci, tulił się do zbocza stromej skały, na której kładły się jaskrawe smugi zachodzącego słońca. Cisza tu była jeszcze doskonalsza a z opuszczonego domku wiało pustką i zniszczeniem. W małej zatoce, przychepione zardzewiałymi łańcuchami do kamiennego słupa, na wodzie cichej, jakby zleniwiałej w swej nieruchomości, drzemały dwa czółna rybackie. Na spróchniałych dnach łodzi czaiła się zardzewiała, stęchła woda morska, z której wyrastały już jakieś pokurczone, nikłe wodorosty i mchy o zgniłym, trupim połysku. W cichym powietrzu unosiła się namacalna prawie, doskonała wilgoć wody, stojącej od niepamiętnych czasów w jednym miejscu. Usiedli na wysuniętej krawędzi „molo“, tuż nad wodą. Był to przez szereg miesięcy ulubiony ich punkt obserwacji.

Gdy morze było spokojne, dno morskie z tego miejsca było widoczne jak na dłoni... odsłaniało wszystkie swe skarby i przedziwne tajemnice. Wzrok, przenikając czyste, lazururowe fale odkrywał tysiące kształtów dziwnych, niczemu niepodobnych, tysiące tworów niezwykłych, niewidzianych, co przytulone do morskiego dna wiodły swój tajemniczy żywot. A więc odsłaniały się jakieś wodorosty i mchy o dziwnym rysunku, chwiejące się rytmicznie pod naciskiem fali, nieruchome jeżowce, potworne ślimaki i małże, przeraźliwe sepie, okropne gąsienice morskie i ryby o płaskich twarzach i człowieczych oczach.

Czasami zdziwiony wzrok zatrzymał się na kształcie tak dziwnym, tak fantastycznym, że niewiadomem było, czy to roślina, czy twór żywy, czy może majak rozkołysanych fal morskich. I z wolna przekonywali się, że ten nieruchomy pozornie i martwy świat podwodny żyje swoim własnym, oderwanym życiem, że rusza się, walczy, zmienia miejsce pobytu, że o każdej godzinie dnia dno morskie zmienia swą fizyognomię a tylko niezmiennym i wiecznym jest to morze, co nad życiem głębi przelewa swe płynne fale... Od czasu do czasu przychodził przypływ, powierzchnia morza pokrywała się tysiącami lśniących bruzd, zakotłowały dolne wód pokłady i obraz dna morskiego poczynał drgać, oddalać się, przykrywać mgłą, i znikać z przed oczu. Wówczas dźwięczały także łańcuchy rozkołysanych trupów-łodzi, jakgdyby martwe statki, zatęskniwszy za lotem nad głębiami, rwały się też w podróż, na pełne morze...

Przytuleni do siebie, siedzieli bez ruchu na kamiennej krawędzi „molo”; czuli, że mają sobie tyle do powiedzenia, że to już ich ostatnie zadumanie się nieskończonością, lecz słowa więzły im w gardle a tylko huczący tłum myśli grał i grał jak to morze. Daleko na horyzoncie dopalało się krwawe słońce... jeszcze ostatnie jego krwawe pocałunki kładły się na powierzchnię morza, zapalając na wodzie tysiące kolorowych łun i miraży.

Ostre iglice skał przeciwległych, zarumienione na krawędziach słoneczną łaską, odrzynały się na tle ciemnoszafirowego nieba, niby olbrzymie, dopalające się pochodnie. Nawet gnijąca woda, na dnie spróchniałych łodzi, poczęła chłonać refleksy słońca i wyglądała jak kałuża skrzepłej, purpurowej krwi. Lecz trwało to krótko... z za horyzontu

poczęła się już wynurzać jakaś sina, groźna chmura i chłonęła w siebie, pożerała chciwie dopalające się słońce... równocześnie z za gór jął się skradać chyłkiem mrok szary, zacierał słoneczne refleksy, gasił pochodnie dopalających się szczytów górskich, włókł za sobą płachtę fioletowych cieni i rozścielał ją na skalnych stokach. Jeszcze jeden ostatni rozpaczliwy krzyk purpurowy i słońce zgasło za krawędzią sinej chmury. Wówczas zmierzch rozciągnął swe zdradne sieci po nieskończonych obszarach morza.

— „Słońce umarło“ — szepnęła Ira cicho i przytuliła się silniej do swego towarzysza. Spojrzał z niepokojem na siny rąbek chmury, wysuwający się z morza.

— „Widzisz Ira, tam daleko ten siny pas, co pożarł słońce... to „Bora“...“

— „Bora...“ — powtórzyła jak echo.

W tej chwili daleko, gdzieś na szczytach gór rozległ się cichy świst wiatru, rozbił się echem na skałach i skończył bez dźwięku. Jakby w odpowiedzi na to od strony morza zahuczała przeraźliwie syrena okrętowa a donośny jej głos długo niósł się po morzu przenikliwym, smutnym jękiem. Na ten jęk, na to wołanie, drgnęli oboje, jakby zbudzeni nagle z bezpamiętnego snu. Spojrzał na zegarek...

— „Ira! chodźmy... już czas“.

Odtąd już fakty postępowały z błyskawiczną szybkością... towarzyszyło im skamieniałe z przerażenia milczenie obojga i to straszne, jedyne ściskanie w okolicy serca, co tamowało oddech i dławiło każde gorące słowo pożegnania, każde pragnienie ostatnich zwierzeń, każdy spazm obłąkanej rozpaczliwej rozstania. Powrócili szybko do hotelu. Rzeczy jej były już spakowane. Drżącymi rękoma zebrała kilka jeszcze

drobnostek, porozrzucanych w pokoju, na ramię przerzuciła torebkę podróżną, służący hotelowy zabrał jej pakunki i wyszli na główne „molo“. Szedł obok niej jak automat, nic nie widząc, z niczego sobie nie zdając sprawy. Kadłub olbrzymiego okrętu, z dużymi kominami, z których waliły ku niebu kłęby czarnego dymu, z balustradą przerzuconą na ląd, opierał się o kamienistą krawędź „molo“. Na okręcie panował gorączkowy ruch: wchodzili podróżni, wnoszono pakunki, słychać było krzyk chłopców okrętowych i gwar rozmowy. Statek chwiał się majestatycznym, ledwo dostrzegalnym ruchem na ciemnych falach, które opływając jego szary, zanurzony w wodzie kadłub, zdawały się szeptać tajemniczo. Co potem się stało, z tego nie zdawał sobie jasno sprawy. W pewnej chwili rozległ się powtórny jęk syreny okrętowej, zabrzękły łańcuchy, pomost podniósł się w górę, pod naciskiem śruby okrętowej zakotłowała się pod okrętem wściekle woda a ciemny lazur morza wokół statku zbieleł od rozkielzanych pian. Jeszcze jeden kurczowy, ostatni uścisk dłoni, straszny, niezapomniany uścisk pożegnania wyciągniętych ku sobie ponad skrawkiem morza rąk:

— „Irka“...

— „Gustaw... pamiętaj“...

Spazm zdławionych słów, krzyk walących tętn, widmo ręki białej kobiecej, wyciągniętej nad morzem, ostatni błysk rozszalałych, wpitych w siebie źrenic a potem noc, szary, nieskończony przestwór morza z widmem okrętu ginącego w mroku, za którym wlokła się długo biała smuga wody i piany morskiej... Potrącany przez ludzi, na wszystko obojętny, błąkał się jeszcze długo na brzegu morskim, wpatrując się czujnymi źrenicami w ciemną dal, tam gdzie zaczynał się ocean

nieskończony, nieobjęty... lecz już nie mógł dostrzec niczego, prócz białej smugi światła, znikającej co chwila, którą obracająca się latarnia morska rzucała od czasu do czasu na oddalone, czarne obszary morza... Po pierwszym skurczu rozpacz był przerażająco spokojny... Tak jak się stało, stało się dobrze... przeżyli ogromny sen szczęścia, niezapomniane gody miłości... a kiedy czuli, że zbliża się trująca zmora przesyty, że jak polip poczyna ssać im duszę, rozstali się w sam czas, spokojnie, z całą rozwagą dojrzałych ludzi, oszczędzając sobie bolesnych rozdierających scen pożegnania i gorzkich łez... rozstali się pięknie jak dwa bogi, świadomi, że nigdy więcej nie mają się spotkać ze sobą. Nigdy... ostry dźwięk, przeszywający jak sztylet duszę... nigdy... zapach odurzający ostatnich róż wrześniowych... nigdy... wspomnienie jasnej łuny nad polskim cmentarzem w dzień zaduszny...

Wrócił do hotelu... nie zapalał światła... począł przechadzać się tam i napowrót z bezmyślnym uporem po swoim pokoju... w pewnej chwili wzrok jego dostrzegł w ciemności białą plamę na stole... zatrzymał się, podniósł przedmiot do oczu... co to?... chusteczka jej zapomniana w pośpiechu a obok szpilka do włosów... doszła go woń znanej mu tak perfumy... I w tej chwili dopiero zrozumiał wszystko, jakieś tamy rozpekły mu w duszy, zalewając go potopem rozpacz... te dwa, nic nie mówiące przedmioty, przypomniały mu dopiero całe jego sieroctwo, całe jego opuszczenie. Z bezsilnym skowyt rzucił się na łóżko i począł szarpać zębami poduszki... Miał wrażenie, że świat cały wali mu się na głowę... W tej chwili zadźwięczały szyby i na dworze zrodził się pierwszy skowyt wichru... Przeleciał przez długie hotelowe kurytarze, wstrząsał drzwiami, rozbijał się o framugi, przypadł z jękiem w piec,

załkał przeciągle i przepadł w dali, gdzieś w stronie morza.

Podniósł głowę... co to... czyj płacz to... Boże... Boże... Cisza... a teraz znowu się zbliża... daleki, odległy pomruk, coraz wyraźniejszy, coraz bardziej rozpaczliwy... owionął cały dom, napełnił go jękiem, tłucze się po pustych pokojach, rośnie w moc, tężeje, huczy jak groźne wołanie, wzmagą się, nabiera tysiące nowych dźwięków; słysząc zgrzyt rozpaczliwej walki, wzmaganie się jakichś tytanicznych sił, bolesny jęk i rozdzierający serce skowyt... Słucha z zapartym oddechem, zdaje mu się, że ten wicher w jego sercu szumi, w jego duszy wyprawia swe piekielne igrzyska. Nie wiadomo, z kąd się wziął, co jest jego powodem... niebo pogodne, bez chmur... przez okno hotelowego pokoju widać daleki płat nieba, zasiany drżącymi gwiazdami. Chwila ciszy... słysząc tylko niespokojny szum morza, opływającego terasy kamienne hotelu. Nowy atak wichru jeszcze gwałtowniejszy... huk potężny, zda się, że olbrzymie skalne bloki walą się ze swych niebosiężnych szczytów w morze, zda się, że cała ziemia drży od podziemnych gromów... ostry dźwięk szyby stłuczonej gdzieś wiatrem, potępieńczy jęk krzywdy, wołanie o pomoc... zupełnie tak, jakby jakiś olbrzymi statek tonął w głębiach morskich... słyszysz ten okrzyk obłąkanej rozpacz, od którego krew tężeje:

— „Ratunku! ratunku“!

A potem ostatni suchy trzask, kotłowanie za mykających się fal, nudny poświst wiatru, przytłumiony falą ostatni krzyk:

— „Gustawie! Gustawie“!

Cisza... martwa cisza, groźne milczenie zagłady... tylko gdzieś daleko na morzu ostatnie echo wiatru, niby uporczywy, rozpaczny, sierocy, taki bardzo sierocy płacz kobiecy. Zrywa

się oszalały... płacz ten przeszywa mu serce niby sto sztyletów... woła go, przyzywa ku sobie, ciągnie to skomlenie skrzywdzonego dziecka. Szeptce więc niby w obłąkaniu:


— „Iruś! moja maleńka, cicho już cicho... idę do ciebie... idę“...

Wybiegł z hotelu... skracając sobie drogę darł się na wprost przez szkarpy, porośłe winem i kaktusami... za chwilę znalazł się na „molo“. Było już bardzo późno... nie spotkał na drodze swej nikogo... U jego stóp morze ciemne, groźne, zlewające się z mrokiem, szumiało głucho... co chwilę przychodziła nowa fala przypływu i rozbijała się z trzaskiem o skały... wiatr odleciał na chwilę od brzegów, lecz słyhać było jak gdzieś daleko na pełnym morzu wyprawia swe piekielne harce... gdzieś w głębiach czuć było wściekłe przelewanie się fal, działo się tam coś strasznego, jakieś zmaganie, jakaś walka, jakiś ruch nieustanny... kilka barek rybackich ze zwiniętymi żaglami chwiało się niespokojnie na wyciągniętych łańcuchach. Dostrzegł je... bez chwili namysłu zbiegł po kamiennych schodkach na dół...

Oglądnął łańcuch pierwszej łodzi... była zamknięta na kłódkę... W tej chwili na kamiennym molo rozległ się głuchy odgłos kroków... Z sercem zamarłem z trwogi przypadł do ziemi... słucał... kroki huczały jakiś czas tuż nad jego głową a potem ucichły... widocznie jakiś rybak wypatrywał czasu łowów.

Podniósł się z ziemi i począł próbować łańcucha drugiej barki... była uwiązana tylko na pętlicy... przyciągnął ją do brzegu, odrzucił łańcuch i wskoczył szybko do środka... spuścił żagiel, liny wyprężyły się jak struny, wiatr uderzył całą siłą w rozpięty żagiel, i barka kołysząc się wściekłe pomknęła w rozburzony odmęt morski. A u steru, z rozwianym włosem,

wpatrzony obłąkańczo w ciemną dal, stał Gustaw powtarzając:
— „Iruś! moja maleńka... idę już idę“...

 Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie
autora: [Henryk Zbierzchowski](#).

W TĘ DZIWNĄ, JEDYNĄ NOC...

(Fragment).

Wieczór nadchodził... pogodny, jesienny dzień włoski, pełen barw jasnych, rażących, przejrzystych dali, konturów ostrych i wyraźnych — zamierał zwolna, żegnając ziemię, niby płomiennym krzykiem zachodzącego słońca, które, zapadając za linię horyzontu, gorzało, jak krwawa pozoga. I ogromna łuna rozlała się po niezmiernych okiem polach Kampanii, pokrytych rudą, mizerną trawą pastwisk, od Rzymu, który, niewidzialny, ginął w mgłę wieczornej, aż do fioletowych gór Sabińskich, na których stokach pięły się tłumnie winnice, uginające się pod ciężarem owoców. Tam promienie słoneczne przedzierały się z trudem przez gęstą, nieprzeniknioną pokrywę z różowych, więdnijących już liści i gałązek, a, ukryte w cieniu, soczyste, purpurowe kiście gron, przeświecione blaskiem, świeciły jak lampki, słabym, różowym płomykiem, jakby przekwitał w nich sen i marzenie o owym najszlachetniejszym, płomiennie-złocistym płynie „vino rosso“, które napełni kiedyś kryształowe puchary. Zieleń drzew oliwnych i smukłych, pogrzebowych pinij, zalegających gęsto stoki, pociemniała w kolorze i stała się fioletową, wśród liści poczęły się błąkać czerwone plamy świetlne, niby ostatnie pocałunki umierającego dnia, kamieniste, nagie szczyty górskie, dotychczas fioletowe, zaróżowiły się nagle, odcinając się jeszcze wyraźniej na bladym, lazurowym tle nieba. Lecz niżej, na stokach, wśród gąszczy drzew i krzaków, czaił się już

szary mrok i rozlewał się w doliny, chłonąc i gasząc wszystkie blaski. Na ciasnych, pokrzywionych ulicach Tivoli, wśród białych, maleńkich, jakby z tektury posklejanych domków, pozawieszanych nad przepaściami, gdzie huczały groźnie słynne wodospady — panowała dziwna i niebywała cisza... Zdawało się chwilami, że to ruchliwe, pełne gwaru i krzyku miasteczko wymarło od zarazy.

I tylko wodospady szumiały w dole głucho i monotownie a woda, rozbijając się z olbrzymią siłą o kamienie, wzbijała ku górze białe skłębione obłoki mgły wodnej, na których wnet zachodzące słońce malowało kolorowe miraże.

Zwolna jednak za miastem, od strony gościńca, prowadzącego w góry, rozległ się jakiś szmer przytłumiony i niewyraźny. Zbliżał się, rósł, rozbijał się wśród skał, już można było odróżnić głucho tupały tysiąca nóg, gwar rozmów, śmiechy, śpiewy i nawoływania.

Na białej, szerokiej drodze, okolonej po obu stronach tym charakterystycznym, nudnym murem kamiennym, ukazała się ruchliwa, kolorowa, zbita gromada ludzi, a za nią kilkadziesiąt kroków druga, trzecia, dziesiąta... Krasne szale i staniki dziewcząt mieszały się z szarym tonem ubrań mężczyzn, w każdej gromadzie rozlegał się śmiech szczery i niewymuszony, wesołe piosnki i żywa rozmowa. Był to dzień zaduszny. Cała ludność zaraz popołudniu wywędrowała na cmentarz, położony o pół mili od miasta w górach i teraz przed wieczorem wracała do domów. Wszystkie twarze były pogodne i rozbawione... trudno, kiedyś się umrzeć musi... spełniono chrześcijański obowiązek; każdy z nich na grób sobie bliski i drogi, zaniósł skromną lampkę za solda i zmówił parę pacierzy. Włoch nie ma czasu na długi smutek i żałobne rozmyślenia... Kocha on

życie i wino, a teraz jesień, święto winobrania, pora najszczęśliwsza i najśłodsza... Nigdzie, w naturze i w ludziach nie spotkałeś ani śladu tej ciężkiej melancholii słowiańskiej, co w Dzień zaduszny wraz z łuną, bijącą z naszych cmentarzy, opada na dusze i oprzędza je smutkiem i żałobą. I szły tak gromady za gromadami przez starą kamienną bramę z herbami papieżstwa, gdzie drzemał w budce siwy strażnik i rozlewały się po mieście, które ożyło nagle, i poczęło rozbrzmiewać gwarem i hałasem. Tymczasem tarcza słoneczna zapadła na horyzont i tylko słaba, różowa łuna wskazywała to miejsce, gdzie niedawno gorzało płomienne, krwawe jej ognisko.

Od gór poczęła się już zbliżać jakaś stalowa siność, a w ślad za nią wypełzał ze wszystkich kryjówek szary mrok. Ostatnie odbicia łuny słonecznej chwiały się wśród liści oliwek, wlokły się z jednej do drugiej gałązki a wreszcie zadygotały po raz ostatni i zgasły. Mrok rozlał się po niezmiernych równinach, zapełnił jary, przepaście i stoki i darł się szybko ku szczytom gór, które na rąbkach były jeszcze wciąż lekko zaróżowione.

A daleko, daleko, na nieobjętej wzrokiem równinie kampańskiej, gdzie już mrok pozacierał wszystkie barwy i kontury, że rozciągała się ona w przestwór, niby olbrzymie, szare morze — w stronie „wiecznego miasta“, nad którym unosiła się biała, wszystko chłonąca mgła, poczęły wyblyskać światełka, zrazu rzadko, potem coraz gęściej, aż wreszcie zlały się wszystkie w jedno wielkie jaśnienie, wiszące w powietrzu, niby biała, świecąca chmura. A, jakby w odpowiedzi, na bladym niebie, zapalane niewidzialnymi dłońmi aniołów, jęły wykwiatać migotliwe, drżące, jakby przestraszone czemś gwiazdy...

*

*

*

Na kamiennych terasach „Villi d'Esté“, porośłych winem i bluszczem, opadających kilku piętrami w dół, od stóp starego, opuszczonego pałacu, aż do ogromnego parku — panowała zupełna cisza. Aleja, wysadzona piniami, kręte ścieżki, prowadzące do zacisznych altan i grot wodnych, po których snuli się jeszcze niedawno ludzie — opustoszały, zamilkły tłumione okrzyki zachwytu, wyznania miłosne i pocałunki, do których, zda się, był stworzonym ten dziwny, niezwykle park, cud ludzkiej fantazyi, kraina marzeń i zapomnienia.

Słońce właśnie zagasło, gdy ostatnia, spóźniona para, przytulona do siebie i zatrzymująca się długo w zacisznych wieżyczkach, przez które przechodziły kamienne schody — ukazała się jeszcze raz na ostatniej, najwyższej terasie i, rzuciwszy tęskne spojrzenie na park, rozciągający się w dole, niby sen cudny i niezapomniany — znikła w ciemnych drzwiach pałacu.

Po chwili zatrzaśły się z hukiem żelazne wrota klasztoru, z którego krużganków wchodziło się wprost do wili, i olbrzymi budynek, o niezliczonych pustych komnatach, objęła noc i cisza w swe posiadanie. Kilkadziesiąt okien renesansowych spoglądało ciemnymi jamami na świat groźnie i tajemniczo, żaden ze strażników pałacu nie zapuściłby się o tej porze w puste pokoje, gdzie od odgłosu kroków budziły się pod sklepieniami dziwne echa, a w zamurowanych alkowach jęczało coś cicho i strasznie. A zwłaszcza dzisiaj, w tę dziwną jedyną, straszną noc po Dniu Zadusznym, gdy, jak wieść niesie, zmarli powstają z grobów, a świat cały roi się od duchów złych

i dobrych...

I w krótkim tym momencie ogólnej szarzyzny, gdy słońce zagasło, a światło gwiazd z trudem przedzierało się przez niezmiarzone obszary ku ziemi, tylko ścieżki parku, jak widma, rozciągały wśród nieruchomych drzew, białe, długie ramiona...

I w ciszy, jaka tam panowała, szumiały tylko monotonnym szklanym chórem we wszystkich stronach parku wodospady, podziemne strumienie, fantastyczne grotty wodne i kilkupiętrowe kaskady, gdzie woda z hukiem i pianą przelewała się z jednego basenu do drugiego. Była to jakaś stugłosowa, dziwna symfonia, pełna plusków, szmerów, szumu, huku i szklanego dzwonienia kropel.

I w miarę tego, jak na górze miasto, pełne gwaru i hałasu, uciszało się, układając się do snu — tem wyraziściej rozbrzmiewała w dole, pod osłoną mroku, stugłosa, szumiąca pieśń wody.

A nieco dalej, w górach, wtórował pieśni tej przytłumiony, podziemny huk licznych wodospadów.

Już światelka Tivoli, co jak wilcze oczy spoglądały ze swej wyżyny w stronę „wiecznego miasta“, gasły zwolna, ostatni pociąg, odjeżdżający do Rzymu, gwizdnął przeciągle i, opuściwszy oliwny las, rzucił się w dolinę... Przez chwilę jeszcze słyhać było monotony łoskot kół żelaznych, który oddalał się, słabł a wreszcie rozplynął się zupełnie w ciszy i przestrzeni.

Nadeszła noc... Z za gór Sabińskich wypłynął zwolna i majestatycznie miesiąc, jak ptak świetlany, i srebrno-zielonym światłem zalał stoki górskie i drogę do mostu Nerona. Przeciął białe, zwichnione obłoki, co stanęły mu w drodze, przeświecił je

tęczową aureolą i płynął dalej nad cichem śpiącym miastem. Oświetlił białe domki kamienne z zielonemi okiennicami, ulice kręte, ciasne i pełne zaułków, aż wreszcie zawisł nieruchomo nad Villa d'Esté, pogodny, uśmiechnięty światłem, cudnie okrągły. I począł hojną dłonią rozrzucić swój uśmiech srebrzysty, objął w świetlny uścisk fasadę pałacu, aż wreszcie zalał światłem cały park, wciskając się między drzewa, w gąszcz kwiatów i krzaków, we wszystkie kryjówki, groty, altany i ścieżki. Zalśniły tafle wodne, baseny wśród kwiatów, kaskady i zbiorniki, jak lustra najświetniejsze — wynurzały się nagle z mroków, jak widma, białe posągi, ukryte w kamiennych niszach lub w drzew obramieniu, a światło miesięczne wciskało się wciąż dalej i dalej, odkrywając w swym pochodzie coraz to nowe cuda i dziwy...

A jasna twarz miesiąca uśmiechała się coraz łaskawiej i coraz tajemniczej...

Stare, zmurszałe posągi, z odbitymi członkami, popękane i nieszczęsne, w oświetleniu tem, które zacierało braki, omotując wszystko srebrzystą przędzą czaru i marzenia, zdawały się nabierać życia, ruchu, wyrazu, jak gdyby zaczęła pulsować w ich członkach skrzepła krew. Zdawało się, że trzeba było jeszcze ostatecznego, cudownego słowa zaklęcia, a zejść ze swych piedestałów i poczną przechadzać się po ścieżkach. A fontanny, wodospady, groty wodne, podziemne strumienie grały coraz głośniejszym, coraz natarczywszym chórem, jakby domagały się cudu w tę dziwną noc...

Zagar na wieży klasztornej tajemniczo i powoli wydzwonił północ. Jeszcze nie przebrzmiał ostatni, jakby ochrypli ze starości głos dzwonu, gdy mały amorek, ten najweselszy z grupy „amores ludentes“ na fryzie, okalającym herby

prześwietnego domu Andegaweńskiego, drgnął nagle, jakby przebudzony z długiego snu i, wyciągając swoje drobne członki, zeskoczył lekko na murawę. A potem, rozglądając się baczenie do koła siebie, pobiegł po krętej ścieżce na środek parku. Pusto tu było i cicho... tylko kamienne terasy pałacu, z milionami błyszczących nitek wodnych, spływających ze szklanym jękiem z wyższych schodów na niższe, pięły się majestatycznie w górę, zalane potokami światła... Amorek przebiegł szybko, jak błyskawica, pnące się w górę schody, na każdym pięttrze przystawał chwilę i nadśluchiwał baczenie, a potem, rozpostarłszy skrzydła, sfrunął jak ptak znowu na dół... W ten sam sposób obleciał wszystkie ścieżki, zaglądając do każdej ustroni, do każdego zaułka. Wreszcie powrócił do największego basenu, porośłego przy brzegach liliami wodnemi, gdzie fantastyczne gryfy i smoki wyrzucały z otwartych gardzieli strumienie wody, usiadł na brzegu basenu nad samą wodą i wyciągnął białą, pulchną rączkę w stronę kwiatów. Zdjął ostrożnie kielich największej lilii, prześwieconej blaskiem miesięcznym i, strojąc pocieszne miny, przyłożył go do ust, jak trąbkę:

— „Ho hej! ho hej!“ rozległo się donośne wołanie, wnikać w ciszę nocy i budząc tysiące ech i szmerów. Niosło się ono w dal melodyjnie i śpiewnie, niby głos fujarki, górując ponad szmerem wody.

Amorek słuchał... W parku panowała cisza, tylko krople wodotrysków dzwoniły monotennie i uporczywie. Wówczas po raz drugi przyłożył wargi do liliowego kielicha:

— „Ho, hej! ho, hej!“

Nieruchome posągi, bielejące, jak widma, wśród drzew, poruszyły się na swych piedestałach, jak gdyby przebudzone z

długiego snu, gryfy i smoki, plujące wodą w fontannach, drgnęły i, poruszając się ciężko i leniwie, wypełzły na kamienne brzegi basenów, reszta amorków sfrunęła z fryzu na murawę i, wzięwszy się za ręce, poczęła się wić wiankiem po trawnikach, jak gromada pustych, rozbawionych dzieci, po wszystkich ścieżkach snuły się, jak widma postacie o pięknych, nagich torsach, albo osłonięte powłóczystymi togami. Cały park ożył nagle i zaroił się tysiącami istnień. Amorek odrzucił liliową trąbkę, klasnął w dłonie i pomknął, jak strzała, w stronę bawiących się dzieci. Wplótł się w wijące się koło, zatoczył żywszy krąg, a potem szarpnął niem tak nagle, że wszystkie amorki poupadały w miękką trawę. I wnet cała ta rozbawiona gromada pomknęła w wesołych, uciesznych podskokach na sam koniec parku, gdzie wśród gąszczy, w kamiennej framudze, oczekiwała już na swe głodne dzieci asyryjska Bogini o stu piersiach, wszechkarmicielka łaskawa i dobra.

W oddalonej, zacisznej, bardziej opuszczonej części parku, gdzie rzadko kiedy zabłądziła stopa przechodnia, stała grotta wodna, porośła mchem i pleśnią, zżarta przez wilgoć i popękana, z basenem, pełnym mętnej, gnijącej wody, z której wysterczała złamana rura wodotrysku. W głębi, przybity żelazem do kamiennej ściany, tkwił posąg nagiego młodzieńca bez rąk, o pięknych, smukłych kształtach, pokrytych pleśnią. Była to rzeźba greckiego dłuta, pełna harmonii, o nieskazitelnie pięknych liniach. Oddawna już przestano się zajmować grotą i jej mieszkańcem. Ze szczelin popękanych ścian wyrastały mchy i chwasty... Opodal grotty, nad rozłożystym krzakiem dzikiej róży, obsypanej mnóstwem jesiennych, ostatnich kwiatów, wznosiła się precudna rzeźba dziewczyny, o powłóczystych szatach rzymskiej tancerki, czy

śpiewaczki chórów. Jedna jej ręka, wyciągnięta, kładła się na kwiatach, jakby pieściła je miłostnem, ciepłym dotknięciem, w drugiej ręce trzymała rzeźbiony starorzymski dzban na wodę. Dziwnym trafem rzeźba i krzak róży dopełniały się wzajemnie, tworząc wdzięczną, pełną poezji grupę; zdawało się, że róża pod opieką dziewczyny rozwija się tak cudnie, że to dłoń jej, miłostnie rozpostarta, wyczarowała o tak późnej porze tyle różowych, świeżych pączków. Gdy na wołanie amorka przez liliowy kielich ożyły wszystkie posągi w parku, boska opiekunka róż zeskoczyła też ze swego piedestału i, nabrawszy wody z basenu, poczęła obchodzić ostrożnie krzak róży, podlewając wątłe korzenie kwiatu.

Od czasu do czasu biała jej dłoń przesuwała się delikatnie po różanych płatkach w jakiejś bezsłownej, niemej pieszczocie. A gdy już obeszła w ten sposób kilka razy ulubiony krzak kwietny, usiadła na murawie i, oparłszy twarz na dłoniach, poczęła nucić tęsknie i smutno jakąś pieśń, której cichy dźwięk mieszał się z szumem pobliskiej kaskady, wsiąkał w dzwonienie kropel i niósł się echami w dal ciemną:

Rojeń i marzeń
Nitkę pajęczą
Zakłęłam w róży pęk,
Przed krzakiem życia
Anioły klęczą,
Strzeże go duszy lęk.

Jesień... wnet deszczu
Strugi zadźwięczą
I wstanie wichru jęk;
Noce tak długie,
Wichry tak jęczą,
O, jak mi strach i lęk!

Gdy krzak przekwitnie,
W ros strojny tęcze
I zeschnie róży pęk,
Przerwą się życia
Nicie pajęczne
I skona pieśni dźwięk.

Tyle było w piosence dziewczyny serdecznego umiłowania, taki czar spływał z tych słów prostych i niewyszukanych, że duchy, snujące się po ścieżkach, przystanąły, a wszystkie kaskady parku, jak gdyby zasłuchane w echa pieśni, przycichły na chwilę. I w tejże samej chwili, jakby w odpowiedzi, w opuszczonej grocie wodnej odezwał się jęk krótki i żałosny i, jak raniący grot, przeszył ciszę nocną.

To przebudził się młodzieniec bez rąk, przybity do kamiennej ściany. Opiekunka róż, usłyszawszy ten jęk rozpaczny, podniosła głowę i poczęła wsłuchiwać się uważnie w ciszę nocy. A z ciemnej groty odezwał się głos cichy, przyćmiony bólem, pełen palącego wyrzutu i ogromnej skargi:

W kamiennej, ciemnej grocie, z boleści skamieniały,
Przeżywam, o, nieszczęsny! ostatnie dni żywota —
Poczęła mię myśl grecka i ludzkich dusz tęsknota
Wyszedłem z dłoni mistrza, świecący, nagi, biały.
A dziś mię więzi mokra, porosła mchami grotą,
Żem jest od wody śliski, spękany i zmurszały,
Przez pierś żelaznym drutem przybito mię do skały,
U stóp mych gniją liście w basenie, pełnym błota.
Pamiętam raz — wiatr jęczał — wpatrzyłem się, wybladły,
W miesiąca krąg zielony, jak oko w mgłach rozwarte,
Gdy z hukiem (o, nieszczęście!) ramiona mi odpadły.
I odtąd konam wiecznie w powolnej, długiej męce.
O, ciało me, wilgocią i pleśnią groty zzarte!
O, ręce moje, biedne i zdruzgotane ręce!!

A potem umilkło wszystko, lecz czujne ucho dziewczyny dosłyszało przytłumione westchnienie i cichy, delikatny plusk, jak gdyby jakieś ciężkie krople spłynęły na powierzchnię wodną.

Zerwała się więc i pobiegła, zwinna i lekka, w stronę jęczącej groty, łamiąc trawy i przeciskając się przez krzaki. Doszedłszy do tego miejsca, gdzie w białej, spękanej skale czerniał otwór groty, pogrążonej w mroku, oparła się wiotkimi ramionami na kamiennej balustradzie basenu i, spoglądając rozszerzonymi źrenicami w ciemność, zawołała cicho:

— Antinousie! Antinousie ! to ja! Silvia!...

A z głębi groty odezwał się znów ten sam jęczący głos:

— Ave! ave carissima!!

— Bądź pozdrowiony i ty! zejdź, proszę, do mnie z tej ponurej, wilgotnej jamy... tu tak ciemno... boję się...

W grocie zapanowała cisza... — a potem o ciemne sklepienia odbiło się znów parę westchnień ciężkich i bolesnych jęków.

— Nie mogę... więzi mię żelazo, straszne, bezlitosne żelazo...

Któż będzie dzisiaj, Silvio, błąkać się z tobą, jak przed laty, w tę jedyną noc, po osrebrzonych miesiącem ścieżkach, któż będzie dziś z tobą przypatrywać się uciesznej zabawie amorków?..!

A dziewczyna, zdjęta litością, przemogła obawę i obrzydzenie i, trzymając się mokrych ścian, szła delikatnie, na palcach, po kamiennym brzegu basenu w głąb ciemnej groty. A kiedy ręce jej dotknęły już zimnych członków młodzieńca, zebrała wszystkie siły i, objąwszy wiszące ciało, delikatnie,

miękkimi ramionami usiłowała zdjąć je z żelaza... Lecz zawiodły ją siły...

Ciało młodzieńca nie drgnęło nawet, lecz tkwiło wciąż w tej samej pozycji... ręce dziewczyny, te ręce litościwe i niosące ukojenie, opadły bezsilnie. Więc wspięła się na palcach i przywarła do zimnych, niby umarłych ust młodzieńca. Potem powróciła tą samą drogą na dawne miejsce i, ukrywszy twarz w dłoniach, usiadła na kamiennej balustradzie basenu. Lecz z oczu jej spłynęły gorzkie, palące łzy i, przecisnąwszy się przez zwarte mocno palce, wsiąkały bezgłośnie w fałdy jej białej szaty. Tym czasem żaloszny głos z głębi groty skarżył się:

— Wspominam czasem, Silvio, dawne czasy, wiek złoty szczęścia i łaski bogów, promienną jutrznię przebudzenia... Urodziłem się pod niebem Grecyi, krainy bogów i kolebki sztuki. Gdy, wyczarowany z niekształtnej bryły dłonią arcyministra, przebudziłem się do życia ostatniem uderzeniem jego twórczego dłuta, złote słońce mojej ziemi zalewało mi oczy, a przed mojem białem, pięknem ciałem stał on, „mistrz“, promienny i uśmiechnięty, dumny ze swego dzieła...

I odtąd widziałem tylko twarze, pełne zachwytu, a słowo greckie „kalos“, obijało się ciągle o moje uszy. Kupił mię za dwa talenty bogaty patrycyusz rzymski do swojej wili nad morzem.

Pamiętam dobrze ten dzień, gdy niewolnicy na olbrzymich noszach drewnianych przenosili mię ostrożnie, pod batem dozorców, na biały okręt, który kołysał się przy brzegu, okręt, mający przewieźć mię do nowej ojczyzny. Płynąłem tak przez miesiąc, jak w kołysce, po modrych falach morza, układany do snu monotonną pieśnią prujących wodę wiosła, albo tęsknem zawodzeniem niewolników. Przez dzień miałem nad sobą

pogodne, lazurkowe niebo, przecinane lotem białych mew, a w nocy miliardy gwiazd złotych i drżących.

W nowej ojczyźnie, w domu patrycyusza, przyjęto mnie z honorami, jakie oddaje się bogom. Umieszczono mnie w atryum, w niszy, malowanej cudnie, wśród posągów bogów i masek zmarłych przodków. W pierwszym dniu mego pobytu, odbyła się na moją cześć uroczysta uczta. Głowę moją uwieńczyła wawrzynem, a patrycyuszki, rozgrzane winem, patrząc na moje boskie, cudne, nagie kształty, płonęły w rozkosznych ogniach, jak kwiaty purpurowe... Odtąd żyłem tak długie lata w szczęściu i nie raz jeden piękne niewolnice obejmowały mnie w miękki uścisk, szepcząc mi do ucha jakieś tęskne, niezrozumiałe zaklęcia. Mijały tak pokolenia za pokoleniami, a ja trwałem wciąż, wiecznie młody i nieśmiertelnie piękny.

Przyszedł wreszcie ten dzień pamiętny i niezapomniany... Ziemia zatrzęsała się, w powietrzu rozlał się jakiś żar, wszystko niszczący, niebo zapłonęło olbrzymią łuną. Nie wiedziałem, nie rozumiałem, co się dzieje... z niszy swej patrzyłem, jak ludzie biegali w obłąkaniu po komnatach, łamali ręce, czepiali się szat bogów, błagając o ratunek. Tylko Metella, dumna córka patrycyuszów, krew królewska, stała obok mnie spokojna i wyczekująca, z lekkim uśmiechem na cudnych ustach, jedną ręką trzymała się kurczowo mego ramienia i tylko uścisk ten, palący i mocny jak śmierć, po którym pozostała mi pręga na ramieniu po wieczne czasy — świadczył, że dusza jej, mimo spokojnej maski, walczyła też z trwogą śmiertelną i rozpaczą. Aż wreszcie dom nasz zalała jakaś płomienna, gęsta rzeka, objęła mnie w swój miękki uścisk i oddzieliła od świata. W uścisku tym usnąłem w niepamięci na długie wieki. I pocóż

znowu jakaś brutalna ręka przerwała mi ten sen słodki, wydobywając mię z mojej cichej mogiły na świat, z którym mię nic już nie łączy. O heu! me miserum!!

A opiekunka róż, wsłuchana w opowiadanie młodzieńca, powtórzyła kilka razy, jak echo:

— O, biedny! biedny Antinousie!

Potem uklękła i, dotykając czołem ziemi, modliła się cicho i żarliwie:

— O Venus! Kochanko bogów i ludzi! nieśmiertelne źródło miłości! zjedź i pomóż mu!

A w grocie wtórował jej błagalny głos:

— Afroдите! zrodzona z piany morskiej, płomienna i uśmiechnięta, co w dusze wsączasz nienasycony żar pragnień, z którego rodzi się piękno i sztuka, nie opuszczaj mnie!

— Venus! opiekunko słodkich tajemnic dziewiczego ciała, ulituj się!

— Afroдите, wielka i królewska, której godłem płomień i piękno, wejrzyj na mnie!

— Venus! pani białych gołębic, uścisków miłosnych i płomiennych pocałunków, ukaż się!

I długo jeszcze brzmiał w ciszy nocnej ten żarliwy, dziwny dwugłos, i szedł w przestwór, brzemienno łzami i skargą serdeczną.

Aż wreszcie z powiewem wieczornego wiatru, co począł szumieć w liściach cyprysów, pinij, i oliwek, spłynęła na ziemię, jak widmo nieuchwytnie i mgliste — Venus, owa Nieśmiertelna, Najpiękniejsza, Milońska, zawisła nieruchomo, jak mgła w powietrzu i ciszę nocną przerwał boski, słodki, wszystko przenikający głos:

— Jakoż wam pomódz mogę, dzieci drogie, gdy sama rąk

nie mam?!

Ⓒ Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Henryk Zbierzchowski](#).

PRZYGODA MAŁEGO ZBYSIA, WĘDROWNIKA.

(Obrazek).

Mały Zbych to prawdziwy oryginał... Trzyletni pędrak, okrągły i pucułowaty, z brzuszkiem wystającym, toczy się zabawnie, jak kulka, na dwóch krótkich, kabłąkowatych nóżkach, z których zawsze mimo usilnych starań mamy i niani opadają melancholijnie majteczki. Z pulchnej okrągłej twarzy spogląda na świat dwoje oczu małych, błyszczących i ciekawych. Czasami oczy te, schylone nad kwiatem albo nad owadem, prześwietla jakiś przedziwny wyraz skupienia i natężonej uwagi. Wówczas zdaje się, że na pewien krótki moment widzą one jakieś prze dziwne tajemnice, rzeczy z tamtego świata, dawno już zapomniane i niezrozumiałe dla dorosłego człowieka. A twarz chłopca to prawdziwe pobojuwisko. Zawalana, podrapana, pełna piegów, siniaków i blizn, jedyna w swoim rodzaju, mogłaby świadczyć o jakichś zaciekłych walkach, o życiu ruchliwym, pełnym wypadków i niespodzianek.

A jednak jest to charakter łagodny, pocziwy i nie wchodzący nikomu w drogę. Cechy te występują najlepiej w stosunku malca do starszej o rok siostrzyczki Wisi. Zbych ma respekt przed jej mądrością i ostrymi pazurkami. Wogóle ulega jej we wszystkim i ma wstręt do tworzenia sobie własnego światopoglądu. Wisia to już miniaturka kobietki. Sprytna,

dumna, uparta, złośliwa, ma w sobie zawiązki na przyszłą despotkę. Mimo swoich czteru lat miesza się do gospodarstwa, łąje służbę i wypowiada od czasu do czasu jakąś mocną, stanowczą sentencję, podsłuchaną z życia domowego j. n. p. „Ta bestya Hanka nic nie robi, tylko przez cały dzień włóczy się za kawalerami“, albo „Wisia to mądra dziewczyna a Zbysio to ostatni dureń“. A chłopiec z miną poważną i głosem pełnym wewnętrznego przekonania powtarza za nią jak małpka: „Wisia to mądla dziewczyna a Zbysio to ostatni duleń“.

Zresztą mały Zbych nigdy się nie nudzi. Ponieważ jest średnim w rodzeństwie, więc jak to się zwykle dzieje, najmniej na niego zwraca się uwagi. Wskutek tego cały dzień toczy się na swoich krótkich nogach przez trawniki parku, ugania za motylami albo zrywa „kaki“ (kwiaty). W wolnych chwilach bywa bity przez wszystkich. Bije go mama, tato, ciocia, Wisia, niańka, kucharka i służba folwarczna. Zbych przyzwyczał się już do tej operacji. Przyjmuje te razy zasłużone lub niezasłużone ze stoickim spokojem. I tylko wykrzywia po wszystkim twarzyczkę w grymas niezadowolenia i drapie się zabawnie w zbolące miejsce. Lecz czasem i on ma swoje humory. Wówczas, zaledwie go dotknie ręka karząca, wydaje ze swego gardła przeraźliwy, przenikający jak sztylet krzyk i drze się tak z całych sił nie dla bólu, tylko dlatego, że czynność ta sprawia mu wielką satysfakcję. Wie on dobrze, jak się to kończy. Mama, wzruszona jego nieszczęściem, przynosi mu zawsze „cuklu“ lub „buły“

Chłopiec największe zaufanie czuje tylko do niani. Ona jedna chodzi z nim na dalekie spacerunki do lasu, ona jedna tylko umie śpiewać takie ładne i zabawne piosenki, które roznoszą wśród drzew tajemniczym echem i mają takie dziwne słowa,

jak:

»A ja pizou po za pec
Wypił borszcz, zbyu hornec.
A tam stały pyrohy,
A ja do nich hy, hy, hy«!!

albo:

Tam gdzie czysta woda
Tam koniki piją
Tam gdzie ładna panna
Tam się chłopcy biją.

Tylko, że w wierszu tym malec nigdy nie mógł zapamiętać porządku poszczególnych wierszy i później powtarzał za nią w ten sposób:

Tam gdzie ładna panna
Tam koniki piją.

Lecz najbardziej do gustu przypadła mu trzecia piosnka:

Stara baba jak cholera
Szuka sobie kawalera.

Szkoda tylko, że mama zabrania mu śpiewać jej, a ile razy Zbych zapomni o karze i zaintonuje piosnkę przeraźliwie fałszywym głosem, bierze baty i musi stać w kącie koło pieca.

Malec ma jedną zaletę, która zapowiada piękny charakter. Oto nie kłamie nigdy, choć nieraz ta prawdomówność odbija się gorzko na jego skórze. Giną na przykład pewnego dnia bez śladu kalosze mamy. W domu krzyk, awantura, piekło. Cała służba szuka, zdejmują obrazy ze ścian, odsuwają meble,

zwijają dywany. W atmosferze unosi się gniewny, despotyczny krzyk zagniewanej mamy. Zbych tymczasem najspokojniej stoi w kącie i potrącany przez służbę zajmuje się z powagą, nie licującą z naprężeniem chwili — wydłubywaniem oczu złotowłosej lalce Wisi. Po półgodzinnem daremnie poszukiwaniu, mamie zaświtała nagle jakaś myśl w głowie. Zbliżyła się do chłopca i z podstępłą miną pyta:

— „Zbysiu! nie widziałeś gdzie kaloszy mamy“?

Zbyś, wiercąc drutem w pustych już oczodołach lalki, odpowiada całkiem spokojnie:

— „Widziałam“!

Mówiąc o sobie używa stale formy żeńskiej. Mama indaguje dalej:

— „A gdzie je podziałeś, powiedz Zbysiu. Mama musi iść do miasta a tam pada straszny śnieg. Bez kaloszy może się mama rozchorować i umrzeć. Powiedz Zbysiu, gdzie schowałeś kalosze mamy“?

A Zbyś odpowiada po krótkim namyśle:

— „Schowałam do peca“?

I rzeczywiście znajdują w piecu do połowy już stopione kalosze.

Zbyś ma manię wędrowniczą. Zielony ganeczek i park, w którym wolno mu się bawić, nie wystarczają mu. Zna już tam każdą piędź ziemi, żaden kwiat nie ostał się przed jego chciwą ręką. Wyobraźnia jego pożąda szerokich przestrzeni. Gdyby nie gęsty parkan, przez który zaledwie kot się przecisnąć może, powędrowałby za góry i lasy, w ten nieznan, ciekawy świat, o którym marzy najcudowniejsze baśnie. Najbardziej pociąga go las, sąsiadujący z parkiem, pełen tajemniczego cienia, świergotu ptactwa i dziwnego szumu drzew. Chodzi tam

czasem w niedzielę z nianią, lecz nigdy nie zapuszczają się w głąb. Już kilka razy, gdy furtka przez zapomnienie była otwartą, puszczał się samopas w tamtą stronę, lecz zawsze w czas zauważono jego nieobecność i zwracano go z drogi. A las szumiał tajemniczo, tak grał i śpiewał, tak wołał go do siebie i nęcił, jakby znał jego tęsknotę i nieukożone pragnienie.

Pewnego dnia, w skwarne, upalne popołudnie Zbyś z nianią bawił się w parku. Rodzice udali się na drzemkę, cały folwark ukrył się przed gorącem, nigdzie nie było widać żywej duszy. Niania z młodszym braciszkiem na rękach, usiadła pod cieniem klonu, oparła się o jego szeroki pień i wnet, zmożona gorącem, przymknęła oczy zapadając w błogi sen. Była ogromna niezamącona cisza, żaden listek nie drgnął na gałęzi, tylko zdaleka dolatywał niewyraźny, przytłumiony szum lasu. Zbyś przeczuł, że teraz nadeszła stanowcza chwila. Rozglądnął się jeszcze raz dokoła, a potem ile tylko sił mu starczyło począł toczyć się w stronę furtki. Na szczęście otwarta. Oglądnął się po za siebie. W oddali, na ciemnym tle zieleni widniała nieruchoma, czerwona plama śpiącej niani. Bez namysłu puścił się w dalszą drogę... miał teraz do przebycia najgorszą partyę; ścieżka z małym wzniesieniem, wiodąca do lasu, była z folwarku widoczna, jak na dłoni. Zgrzany, zlany potem dopadł pierwszych drzew lasu i utonął w jego ciemnej, cienistej głębi. Był już bezpiecznym.

Drzewa witały go cichym, radosnym szumem i wyciągały ku niemu gałęzie, niby miłujące, spragnione pieścizoty ramiona. Pomiędzy drzewami wił się srebrną nitką mały strumyczek leśny, splukując delikatne puszyste mchy i tworząc na wykrotach drzewnych małe wodospady. Ku jego chłodnym brzegom biegły gromadami grzyby, niby rozbawione karły w

dużych, kolorowych kapeluszach.

Po kilku minutach drogi drzewa uciekły w tył i oczom zdumionego Zbysia ukazała się przecudna polana leśna, pełna kwiatów i paproci, napełniona niby kryształowy puchar przezczystem powietrzem, w którym pławiły się roje kolorowych motyli, jętek, muszek i komarów. A puchar ten przykryty był baldachimem najbłękitniejszego nieba, po którym niby biały żagiel szybował srebrny, rozmarzony obłoczek. Chłopiec klasnął w ręce i zawołał pełen niewypowiedzianego zachwytu jedno tylko słowo: „Kaki“! — A były tam kwiaty bladoniebieskie, różowe, żółte, fioletowe i białe, kwiaty wątle, niskie, tulące się do stóp paproci, i wysokie, dumne, na wyprostowanych szypułkach, przerastające wzrostem chłopaka. Gdzie spojrzął wszędzie wyglądały ku niemu z trawy ciekawie te kolorowe oczy kwietne, a stare sosny, niby gromada olbrzymów, wzięły się za ręce i rozpoczęły powolny, poważny tan dokoła polany. Zbyś rzucił się ku kwiatom... niby pijany szczęściem rwał je wszystkie i układał w bukiet dla mamy. A potem usiadł nad strumykiem i począł je po kolei rzucać na wodę.

Blado niebieskie dzwonki, żółte jaskry, drobne niezapominajki spadały bez szelestu na powierzchnię wody, zatrzymywały się chwilę w miejscu, okręcały się z prądem, uderzały o brzegi a potem porywała je wartka fala i niosła w dal. Czasem nadpłynął gdzieś z góry listek, na którym niby na tratwie żeglował przerażony owad lub gąsienica, wahał się chwilę nad wodospadem, utworzonym z zeschłej gałęzi, a potem staczał się z falą w dół. Na chwilę znikał w wirze a potem znów wypływał na powierzchnię, lecz już bez swego pasażera. Wszystko to przewijało się przed zdumionymi

żrenicami chłopca, niby najcudowniejsza bajka piastunki.

Nagle przedarł ciszę donośny, wszystko przenikający krzyk:
— „Zbysiu! Zbysiu“!!!

Skończyła się bajka. Chłopak poznał głos mamy. Szukają go... a gdy go znajdą, wiedział już, co go czeka. Rozglądnął się bezradnie dokoła siebie. A wówczas po raz drugi rozległo się wołanie, tylko już znacznie bliżej, wpadło w głąb lasu, rozbiło się na tysiąc ech i znikło gdzieś w dali, niby wspomnienie...

Na środku polany rozsiadł się rozłożysty, gęsty krzak. Chłopak pobiegł w tę stronę, położył się na ziemi i tak jak kot zaczął się w jego nieprzenikliwej gęstwi. Znalazł tam akurat tyle miejsca, ile było potrzeba dla tak małego człowieczka. Skulił się, wciągnął nogi i czekał.

Las cały rozgrał się gwarem i hałasem. Trzeszczały gałązki, echa wołań rozpaczliwych mamy grały po lesie, oddalając się i zbliżając do jego kryjówki. Zbyś nie myślał opuszczać krzaka. Było mu tak miękko, zacisznie, chłodno. Wyciągnął znużone członki i odpoczywał. Po chwili krzyki szukających ustały i znowu zapanowała w lesie niezamącona cisza. Wówczas w ciszy tej usłyszał chłopak dziwną muzykę. Brzmiała ona z niewidzialnego miejsca tuż nad jego głową. Nie była to właściwie muzyka, tylko jakiś jeden ton, dźwięczny i nieskończonynnnnnnnnn....

Wyteżył wzrok i spostrzegł, że tuż nad jego głową zawisł nieruchomo komar i on to wydawał ten dziwny ton. Pod wpływem tej monotonnej muzyki poczęło go ogarniać senne rozmarzenie. Otwierał oczy jak mógł szeroko, lecz powieki same opadały. W pewnej chwili zdawało mu się, że przez gąszcz przedziera się do niego jakaś mała postać w dużym kolorowym kapeluszu, że staje tuż koło jego głowy, zdejmuje

kapelusz i krzywiąc zabawnie uśmiechniętą twarzą przedstawi się:

— „Jestem pan grzyb“.

Zbyś odpowiada wyniośle:

— „A ja jestem Zbych“ — a potem zasypia snem długim i słodkim...

Budzi go ze snu jakiś wilgotny język, który liże mu twarz. Otwiera oczy i tuż przy swej głowie widzi mordę psia i dwoje zielonych, świecących w ciemności oczu. To Biga, ulubiony kundel folwarczny. Tak ciemno... co się z nim dzieje... chłopiec przeciera oczy i usiłuje sobie coś przypomnieć. W tej chwili rozsuwają się krzaki i dwoje rąk silnych unosi go z ziemi. Zbyś jest na rękach ojcowskich. Przy drżącym świetle smolnego łuczywa ogląda ich wszystkich, ojca, matkę, ciocię, ludzi folwarcznych i gromadę chłopów ze wsi. Na wszystkich twarzach maluje się radość i szczęście, tylko oczy matk okrążone obwódkami a na oczach jej błyszczą przy świetle pochodni jakieś perełki cudne i świecące. Mama wyrywa go z rąk ojca, przyciska do piersi, zasypuje tysiącem pieścizn i całusów. Mówi przytem głosem, zdławionym przez łzy:

— „Mój malcze zatracony, mój słodki kochany chłopaku, moja ty zgryzoto serdeczna. Bogu dzięki znalazłeś się. Szukaliśmy cię pół dnia. I gdyby nie pocziwy pies, który cię wywęszył, kto wie, co by się stało z tobą. Powiedz chłopcze, co ty tam robił pół dnia w tym krzaku“?

A Zbysio odpowiada spokojnie, przecierając zaspane oczy:

— „Spałam“!

Powoli przypomina sobie wszystko. I w miarę tego jest zdumiony coraz więcej. Nie dostał bicia, wszyscy wyrywają go sobie z rąk, nawet gniewna ciocia patrzy na niego wzrokiem

wilgotnym i miękkim, który nie wzbudza w chłopcu lęku. Także niebo, niby ucieszone, czyste, mruży do niego tysiąc złotych oczu, jakby go wołało do siebie na jakąś ucieszną zabawę. A potem odnoszą go z tryumfem do domu, nie jak winowajcę ale jak króla, przy świetle pochodni, która czerwoną łuną rozświeca drogę. Zbysź jest zdumiony coraz bardziej i nie rozumie przyczyny swego dzisiejszego powodzenia. Lecz, że ma wrodzone lenistwo do tworzenia sobie własnych pojęć o ludziach i wypadkach a Wisia już śpi, pozostawia sobie chęć dociekania przyczyny tego do jutrzejszej rozmowy z Wisią.

Po chwili już, Zbysio z dużym cukierkiem w ustach, który jest tak słodki i trwa tak długo, znajduje się w swoim łóżeczku. Z drugiego pokoju przez przymknięte drzwi biegnie do dziecinnego pokoju nikła smuga światła lampy i słychać przytłumiony odgłos rozmowy mamy i tata. Cukierek się skończył, Zbysio, ukołysany ciemnością i wrażeniami dnia, popada w ten słodki stan pół snu, pół jawy. Lecz ile razy otworzy oczy, widzi na szybie okna miesiąc, który ogromny i świecący, zdaje się zaglądać do dziecinnego pokoju. Światło jego srebrne i przykuwające do siebie oczy, nie daje chłopcu usnąć. Więc mamrocze przez sen:

— „Bozia pali lampu... Zbysio będzie spała... Zbysio gasiła lampu Bozi, fu! fu!“


Po jakimś czasie otwierają się drzwi dziecinnego pokoju, jakaś postać podchodzi do łóżka chłopca i pochylona nieruchomo przysłuchuje się jego miarowemu oddechowi. Z drugiego pokoju odzywa się głos mężki:

— „Śpi?“

A z dziecinnego pokoju odpowiada mu przytłumiony głos kobiecy, z jakąś serdeczną tkliwością i umiłowaniem bez

granic:

— „Śpi“ ...

 Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Henryk Zbierzchowski](#).

TCHÓRZ

Szli aleją, skąpaną popołudniowem słońcem, wśród drzew bezlistnych jeszcze i martwych. Szli blisko siebie, prawie ramię przy ramieniu, lecz w zupełnem milczeniu i ciszy. Duszę Henryka rozpieiała bezmierna radość, ile razy pomyślał nad tem, co się stało. Oto niedawno, przed półgodziną zaledwie, na oblanej słońcem plaży, wśród monotonnego szumu morza wyznał jej wszystko... otworzył przed nią duszę aż do najtajniejszych głębi, skreślił dzieje swego życia, opowiedział bezmierną tęsknotę długich ciężkich dni, zasypał ją potokiem barwnej, mieniającej się kolorami tęczy wymowy, a wreszcie, nic nie mówiącej i zasłuchanej z tępą martwotą w jego słowa, wcisnął na palec pierścioneł zaręczynowy... Pani Rena przyjęła go... przez cały ten czas nie drgnął ani jeden muskuł jej twarzy... wzrok jej z jakimś uporczywem zadumaniem gonił rozbijające się u brzegu fale... Ale przyjęła... ta dumna, niedostępna, tajemnicza kobieta, o której nie mógł pomyśleć bez drżenia serca, przed którą długie miesiące dusza jego w niemej adoracyi upadała na kolana, stała się jego narzeczoną... Do chwili tej tak ważnej i tak doniosłej przygotowywał się długo... wiedział, że wzruszenie nie pozwoli mu sformułować należycie myśli, że może powiedzieć coś, co go ośmieszy i zabije na zawsze w jej oczach. To też z całą perfidyą literata obmyślił z góry sytuację aż do najdrobniejszych szczegółów. Nie dziw więc, że przedmowa jego, nad którą przesiedział parę dni a której wreszcie nauczył się na pamięć — była pewnego

rodzaju literackim „majsterstückem“, pełnym przerafinowanej perfidy i dużego sprytu. Mimo całą płynność i skończoność formy, łąkała ona akcentami żywiołowej szczerości, dotykała najczulszych strun i była powleczone patyną zawstydzenia i dziecinnej prawie naiwności. Była to nie konwencyonalna banalna prośba o rękę, ale nieśmiałe romantyczne wyznanie serca rozkochanego pazia, którego każdej chwili za młodzieńczą zuchwałość może spotkać słodka śmierć z rąk obrażonej królowy.

Naprzykład jak efektowne i wzruszające było zakończenie jego wyznania: „Otwarłem na oścież złociste duszy mej podwoje; żywe, młode, drgające serce składam z ufnością do twoich stóp. Weź je, przygarnij, utul miłującymi dłońmi. A pomyśl, że jeśli strącisz mię w otchłań — jedna bujna egzystencja pójdzie na marne, i wiecznie na drodze twej będzie stać jak wyrzut blade widmo, z zakrwawioną piersią, będzie wyciągać za tobą cienie rąk wychudłych i wołać rozpacznie: Pani! patrz! coś zrobiła z moim życiem!!“

A jako akompaniament do tej melodyjnej frazy, pluskało monotennie morze, wbiegając na płaski piaszczysty brzeg, którego długa, melancholijna, szara linia nie miała zda się końca i zlewała się gdzieś na widnokregu z niebem. A przed nimi, na pełnym morzu kołysała się nudno i sennie, tam i napowrót, uwięziona na kotwicy barka rybacka z białym żaglem... Ruch jej miarowy i jednostajny przykuwał oczy i kołysał myśli w jakiś spokojny, cichy, usypiający rytm... Morze szumi, pluszcze, szemrze, syczącymi językami fal wbiega na piasek, a barka na pełnym morzu kolebie się tam i napowrót, tam i napowrót...

Zbliźali się w stronę portu... miała teraz nastąpić druga

część programu... przejażdżka gondolą na pełnym morzu i dalszy ciąg wyznań....

Henryk rzucił okiem na niebo... słońce staczało się coraz niżej po nieboskłonie i poczęło nabierać purpurowych ogni... A więc wszystko tak, jak sobie wpierw obmyślił... będą mieli za chwilę cudowny zachód słońca... ziemia i morze zapłoną ogniem i purpurą a z gorejących fal wykwitnie ku niebu wieżycami kościołów i pałaców to jedyne na świecie miasto, miasto cud, miasto-marzenie, kochanka morza — Wenecya. A wtedy on, wsparty o miękkie poduszki gondoli, drżącym ze wzruszenia i ze szczęścia głosem, będzie snuł dalszy wątek swych serdecznych wyznań; opowie Renie plany na przyszłość, roztoczy przed jej duszą wymarzony, jedyny obraz ich przyszłego życia, pełnego ekstaz i ciągłej kontemplacji. Doszli do portu... uwiązane do słupów chwiały się rytmicznym ruchem gondole, jak czarne mistyczne ptaki, rwące się w dal, na morze... Kilka szarych postaci podniosło się nagle z ich dna... gondolierzy poczęli chórem proponować:

— „Gondola signori, gondola!“

Pani Rena rzuciła okiem po gondolach. Wskazała najbliższą:

— „Jedźmy tą... ja proszę... jest najżałobniejsza ze wszystkich... czy nie zauważył pan, że wygląda jak trumna“...

Nie sprzeciwiał się, choć uderzyło go niemile słowo „trumna“ i dziwny ton jej mowy w takiej chwili... Gondolier, miły staruszek o martwej jakby wyblakłej twarzy, uśmiechnął się przyjaźnie do Reny i podał jej rękę. Usiedli na wygodnych poduszkach siedzenia, gondolier zrobił kilka miękkich prawie niedostrzegalnych poruszeń wiosłem i gondola pomknęła na morze, pozostawiając za sobą białą smugę na wodzie... Pani Rena pierwsza przerwała milczenie:

— „Dziwną twarz ma nasz gondolier... tknął ją boleśnie rylec cierpienia... ten człowiek mu siał wiele cierpieć w swem życiu... już przez to samo jest mi sympatycznym... cierpienie pociąga mnie, jest mi czemś blizkiem... nie uwierzy pan jak nie lubię twarzy szczęśliwych, zdrowych, tryskających życiem i wyrazem zadowolonej ze siebie sytości“...

Henryk poruszył się niespokojnie... nie w smak mu była cała ta przemowa Reny i ton jej minorowy... wygląda to, jakby pod jego adresem skierowane... gdy stał dziś rano przed lustrem, zauważył zdrowe rumieńce na swych policzkach... trudno! przecież nie mógł ich zasmarować białą farbą...

Na szczęście w tej samej chwili słońce, zaczynając zapadać za horyzont, rzuciło purpurową łunę na ziemię i morze... z aksamitnych, przedziwnie miękkich fal wodnych poczęły wykwitać raz po raz kolorowe, cudne miraże, samotna biała chmurka na środku nieba rozśmiała się czerwonym rumieńcem, a koronkowe zarysy wynurzającego się z wody miasta nabrały nastrojowych, różowych obwódek...

Pani Rena szepnęła cicho:

— „Płyniemy jakby we krwi“...

Skorzastał z zachodu słońca, aby odwrócić jej myśli, wskazał ręką przed siebie:

— „Widzi pani, jak przedziwnie płonie na niebie kopyła Santa Maria della Salute... niby mistyczna róża... oto jedyne tło do obrazów religijnych Tiziana. Czy nie zdaje się pani, że w tej chwili, jak mówi poeta:

I z każdej chmury, z każdej nieba cząstki
Błyskają główki w kryształnem przeźroczu,
Twarze ciekawe, oparte ua piąstki
I tysiąc w ziemię skierowanych oczu.

Nie odpowiedziała nic. Płynęli jakiś czas w milczeniu. Gondola krajała prawie bez szelestu fale morza, nurzając się jak tajemniczy ptak w powietrzu, przesyconem blaskami. Tylko od czasu do czasu odzywał się za ich plecami szklany jęk kropel, spływających z wiosła w morze. W tej chwili słońce zgasło za horyzontem, kolorowe pyłki, rozrzucone po niebie, poczęły rzednąć i zacierać się a morze nabrało nagle jakichś zimnych, stalowych połysków. Zerwał się wiatr i począł marszczyć powierzchnię wody. Fale, płynąc gdzieś z pełnego morza w stronę zatoki, pluskały cicho, rozbijając się o boki gondoli. Pani Rena odwróciła się w tył i poprosiła miękko:

— „Żagiel! dobry człowieku“.

Staruszek zręcznym ruchem przeciągnął sznur nad głowami siedzących, jeden jego koniec przymocował do dna łodzi, drugi zaś pochwycił w swe ręce. Wiatr uderzył w rozciągnięte płótno, wydał go kolisto i gondola, przechylona lekko na jedną stronę, pomknęła jak strzała przez wodne odmęty... W tej chwili zalśnił na morskiej powierzchni długi srebrny szlak... to miesiąc wypłynął z za gór na niebo, bładny jeszcze i jakby senny... daleko, tam gdzie stalowa linia morza zdawała się zlewać z niebem, zabłysło parę gwiazd drżących i migotliwych... mrok zaczął zarzucać swe szare sieci na ziemię i na morze... Henryk czuł, że zbliża się stanowcza chwila do zwierzeń... spojrzawszy ukradkiem na Renę... zdawała się być wzruszoną i rozmarzoną... na twarzy jej błąkał się nikły uśmiech a wzrok gonił w przestrzeni jakieś cudne obrazy... Więc począł już powtarzać w myśli początkowy frazes, którym chciał zacząć swoje wyznanie: „w księżycowym szlaku, dłoń w dłoni płyniemy w dal przez wód odmęty i łódź nas poniesie chyża aż tam, gdzie morze styka się z nieboskłonem...

chciałbym tak płynąć całe życie i pić wraz z tobą spragnionemi usty „szczęśliwość gwiazd wiszących nisko“. —

W tej chwili wynurzyła się przed ich wzrokiem mała wyspa i szara ściana przeglądającego się w wodzie budynku. Była to budowla dziwnie smutna i przygnębiająca. Brudna, popękana, kiedyś na żółto pomalowana ściana, z czarnymi oczodołami zakratowanych okien, z których zdawała się wyglądać groza śmierci i trujący smutek opuszczenia. A w dole odbijała się w rozchwianej wodzie ta sama ściana i te same okna, tylko jakies oddalone, bardziej tajemnicze...

Pani Rena, jakby bojąc się zakłócić doskonale milczenie, szepnęła do towarzysza:

— „Co za straszny dom... płyniemy obok wyspy „Śmierci“... byle prędeż na pełne morze... mrożą mię te nudne, przeraźliwe mury“
Milczący dotąd gondolier rzekł nagle parę słów, krótkich, urywanych, podobnych do zgrzytu:

— „Insula San Clemente — dom dla obłąkanych“.

Przerwały one niemiłym dysonansem ciszę. W tej samej chwili, jakby w odpowiedzi na jego słowa, gdzieś z głębi budynku odezwał się przeraźliwy, wszystko przenikający krzyk kobiety. Była w tym głosie bezsilna rozpacz, wołanie o pomoc, dzika skarga i wściekły bunt. Niebawem odpowiedział mu w innej stronie drugi, potem trzeci, dziesiąty... I cały dom, cała wyspa wybuchła nagle potępieńczym jękiem, spazmami płaczu i obłądnego śmiechu i straszny ten, bezładny, wszystko przenikający chór, niósł się daleko po przestworzach morza i ginął gdzieś echemi w dalekich stronach. A taka była groza w tych jękach, że Rena z sercem zamarłem z trwogi, instynktownie przytuliła się do swego towarzysza, jakgdyby szukała obrony przed czemś niewymownie straszmem...

Henryk nie mógł jednak przeżyć rozkoszy tego zbliżenia, bo serce zabiło mu jak dzwon na trwogę a przez całe ciało przechodziły dreszcze. A ona tuląc się do jego piersi szeptała:

— „Prędeż... prędeż... Jezus Marya... Zdaje mi się, że z wszystkich okien patrzą na nas białe, wykrzywione twarze i wyciągają się jakieś drapieżne, pokurczone palce“...

Łódź wypłynęła już na pełne morze i daleko poza sobą zostawiła przekłętą wyspę, a jeszcze wciąż biegły za gondolą echa przeraźliwego krzyku waryatów.

W tej chwili gondolier zaśmiał się cicho. Było w tym śmiechu coś tak nienaturalnego, że mimowoli odwrócili w jego stronę twarze. A staruszek zaczął opowiadać:

— „Ho! ho! znam to... pełnia księżycy... biedna donna Beata dostaje w takim dniu napadu szału... a głos ma donośny... przebija najgrubsze mury; krzyk jej słyhać w każdej celi, w każdym zakątku... żebyś spał człecze jak najtrwarszym snem, przebije twe uszy ten krzyk przeraźliwy, zamąci myśli, odurzy, upije i za chwilę zaczniesz sam wrzeszczeć jak i ona... dozorczy w takim dniu tracą głowy i chodzą źli i rozdrażnieni, jak dzikie bestye... a cały dom wyje tak nieraz i do północy... znam to, znam to... przesiedziałem w tych strasznych murach dwanaście lat... dopiero przed rokiem wypuścili mię na świat, jako wyleczonego“...

Zamilkł... jakby badał jakie wrażenie wywierają jego słowa... Pani Rena obróciła się w stronę staruszka i z wielkim zaciekawieniem słuchała jego opowiadania. Henryk poruszył się niespokojnie i szepnął do swej towarzyszki:

— „Co za fatalny dzień... przyznam się, że to nie bardzo przyjemnie mieć za gondoliera exwaryata... wiatr coraz gwałtowniejszy... Pani Reno wracajmy“...

Głos mu drżał lekko — zdawała się nie słyszeć jego słów... Gondolier, zachęcony jej spojrzeniem ciągnął dalej:

— „Dziwy! dziwy! moi państwo, na co ja się napatrzyłem przez tych dwanaście lat własnymi oczami... włosy stają dęba na samo wspomnienie... pamiętam, był w naszym pokoju jeden waryat... młody chłopak, ale dumna sztuka... zdawało mu się, że jest dożą... wyciągał królewskim ruchem rękę, a wszyscy waryaci upadali na kolana i czołgali się, by ucałować bucik doży Dandola. Żył on bardzo źle z jednym dozorcą, którego nazywał zawsze „sługusem“ albo „niewolnikiem“. Dozorca to był zły człowiek... mścił się na biednym doży, gdzie mógł... najgorsze mu dawał jadło i nie raz jeden w kącie, gdy nikt nie uważał, poczęstował go kułakiem po głowie... Ot zwyczajne bydle! Ale doża postanowił się zemścić. Długo knuł coś i ważył w swej głowie... noce całe spędzał bezsennie, zapatrzony w sufit. Aż pewnego ranka, zapowiedział nam, że dziś jeszcze dozorca zostanie wyrzucony z jego dworu... Pamiętam jak dziś... był obiad... dozorca poustawiał przed każdym talerze z zupą a przechodząc koło doży uszczypnął go w twarz i rzekł złośliwie:

— „Jedz dożo królewskie ochłapy“!

W tej samej chwili waryat pochwycił cynową łyżkę, i nim mogliśmy się połapać co się stało, zręcznym ruchem podważył sobie lewe oko, wydarł je łyżką z oczodołu i podał je dozorczy, ociekające krwią i straszne, mówiąc wyniośle:

— „Proszę niewolnika usmarzyć mi to i podać na drugie danie“!

Dozorca pobladł i stał przerażony, nie wiedząc, co czynić a doża wybuchnął dzikim śmiechem.

A wraz z nim poczęła się śmiać cała sala strasznym

chórem... i ja się śmiałem państwo, lecz nigdy nie zapomnę tej strasznej sceny zemsty. Dozorca natychmiast stracił miejsce a biedny doża w parę dni umarł“...

Tarcza miesiąca podnosiła się coraz wyżej na nieboskłonie, a świetlna smuga na wodzie, po której płynęli, stawała się coraz bardziej srebrzysta i wyraźniejsza. Tu i ówdzie poczęły wykwitać na fali wątle, migotliwe odbicia gwiazd... Zdawało się, że z głębin morskich wyglądają na świat jakieś złote, ciekawe oczy nimf, czy krasnoludków, które słuchają chciwie opowiadania gondoliera. Staruszek stawał się coraz bardziej niespokojnym... spoglądał na księżyc, mruczał pół głosem jakieś niezrozumiałe słowa, to znowu pochylał się ku wodzie, jakby nasłuchiwał melodyjnego szumu fal. Tyle tylko mogli zrozumieć, że chodzi o jakąś kobietę, bo po kilka razy powtarzało się słowo „Kati“.

W wyblakłych źrenicach jego poczęły płonąć złowrogie, zielone błyski. W pewnej chwili oczy te, wszystko przenikające, spoczęły na twarzy Henryka. W tej samej chwili śmiech, podobny do zgrzytu, przeszył powietrze:

— „Ha! ha! ha! pan tak pobladł, jak ten biedny Niemiec wtedy, przed dwunastu laty, kiedy się rozpoczęło moje szaleństwo... pamiętam każdy szczegół... noc była taka sama jak dzisiaj... dzień przedtem spotkało mię straszne nieszczęście... najdroższa kobieta, matka mojego dziecka opuściła mój dom dla kochanka... chodziłem dwa dni jak szalony... na widok każdej spotkanej kobiety zęby moje zaciskały się w strasznym zgrzycie... piłem jak bydlę a kiedy przepiłem już ostatniego solda, wyjechałem z gondolą na plac Marka... Nie czekałem długo... do gondoli mojej wsiadła para młodych ludzi... ona prawie dziecko, o jasnych włosach i niebieskich słodkich

oczach, on, młody, przystojny, może narzeczony, może mąż... poznałem po mowie... Niemcy... wyjechaliśmy na pełne morze — noc była taka jak dzisiaj... stojąc z wiosłem na swoim miejscu, widziałem wyraźnie dwie sylwetki, przytulone do siebie miłośnicie; nazywała się Kati... słyszałem to imię parę razy — przez całą drogę pieścili się... szeptali do siebie jakieś słodkie słowa, śmiali się jak małe dzieci... co chwilę przerywał ciszę odgłos pocałunków... Byłem przyzwyczajony do tego... lecz wówczas, kiedy patrzyłem tak blisko na ogromne, niczem niezamącone szczęście tych dwojga, poczęły się dziać ze mną straszne rzeczy... przypomniła mi się moja kobieta i cała moja straszna rozpacz... serce zawyło jak pies z bólu... zęby poczęły zgrzytać... a tych dwoje pieściło się dalej najspokojniej, jakgdyby nigdy nic się nie stało złego... Jakiś szatan jął mi szeptać do ucha piekielne zamysły... nie mogłem się oprzeć... Odłożyłem wiosła i nachyliłem się... znałem drobną, prawie niewidoczną szparkę w gondoli, którą niedawno zatkałem szczelnie... odbiłem deszczułkę... wyciągnąłem zwitek szmat... woda poczęła przeciskać się na dno małym, prawie niedostrzegalnym strumykiem. Wtedy powiedziałem im całkiem spokojnie: „Módlcie się! przedziurawiłem gondolę... za parę minut pójdziemy wszyscy troje na dno“... — On podniósł się... zdawał się nierozumieć moich słów... powtórzyłem jeszcze raz... wówczas zrozumiał... woda podmywała już im stopy... Jęły się dziać straszne sceny... on czołgał się do moich stóp, całował ziemię, jęczał w bezsilnej rozpacz, podawał mi zwitek banknotów a oczy miał obłąkane... Nie ruszyłem się z miejsca... słuchałem z rozkoszą plusku wpływającej wody... gondola stawała się coraz cięższa... poczęła pogrążyć się już wolno, wolniusieńko... lecz każda

chwila wówczas zdawała się nam wiecznością. A ona złotowłosa, uklękła, i już wyżej kolan w wodzie, podniosła jak Madonna swe cudne, niebieskie oczy i modliła się cicho... ..a potem spojrzała na mnie... Santa Marya! co to było za spojrzenie... jakby ktoś dusił małego ptaszka... pomieszało mi ono rozum do reszty... Nic już nie pamiętam, tylko tę jedną chwilę, jak linia morza doszła do brzegu gondoli, zatrzymała się chwilę, jakby namyślając się, a potem runęła na nas falami... Płynąłem jakiś czas... wyratowała mnie barka rybacka!... oni nie umieli pływać!... odrazu poszli na dno“...

Zamilkł... zdawało się, że w ogólnej ciszy słychać było przyspieszone uderzenie trojga serc. A potem odłożył wiosło, pochylił się nad wodą i słuchał... w ruchach jego było coś nienaturalnego, groźnego... wyglądał jak lunatyk. Począł szeptać: — „Kati! wołasz mię... słyszę twój płacz... gdzieś głęboko, pod falą, na samym dnie... chodź biedoto... podaj mi rękę... pomogę ci na świat, na jasny świat... biedna, cudzoziemska Madonno“... — Nerwy Henryka porwały się... na duszę padł mu śmiertelny lęk... podrażniona fantazyja roiała straszne obrazy... zdawało się, że słyszy najwyraźniej złowrogi plusk wody wpływającej na dno gondoli... Ze ściśniętego gardła wykrztusił tylko jedno słowo: Woda!! A potem począł macać deski na dnie statku... Dotąd były suche... lecz, co będzie dalej... Pani Rena przymknęła oczy i nie poruszyła się ze swego miejsca. Henryk tymczasem szalał... uklękł na dnie gondoli, przesuwając dłonie po deskach, nasłuchiwał szumu morza, trzął się jak w febrze i ze szczękającymi zębami śledził wszystkie poruszenia gondoliera. Mówił przytem jakieś beładne słowa, zwracając się do swej towarzyszki, to znowu do staruszka, który zdawał się nie słyszeć i niczego nie

pojmować. Wreszcie przypadł jak dziecko do kolan pani Reny:

— „Pani Reno! słodka pani Reno... proś tego szaleńca niech wraca... on mnie nie słyszy... mój Boże!... boję się... carabinieri... ratunku“!!

Ukrył twarz w dłoniach i począł płakać nerwowo:

— „Ja nie chcę umierać... nie chcę... na pomoc... do brzegu, prędzej, do brzegu“. — W pewnej chwili pani Rena otworzyła oczy i popatrzyła z politowaniem na płaczącego mężczyznę. Potem, jakby przypominając sobie coś, odwróciła się do gondoliera i rzekła krótko i stanowczo:

— „Wracać“!

Na dźwięk jej głosu staruszek ocknął się... Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, pochwycił wiosło w pewne dłonie, ustawił żagiel i po kilku poruszeniach gondola pomknęła w stronę portu.

— „Piano! piano! Madonna! proszę się nie obawiać... wracamy już“. — A potem pokazując na skulonego w rogu gondoli Henryka rzekł pogardliwie:

— „Tchórz“! — i splunął z odrazą.


Przybili do brzegu. Henryk pożegnał się ze swoją towarzyszką i na chwiejnych nogach, z trudem dowlóknął się do swego pokoju. Rzucił się w ubraniu na łóżko i począł myśleć nad tem wszystkim, co zaszło...

W tej chwili dopiero, gdy już minęła obawa, stanęły mu przed oczyma jaskrawo pewne momenty i uczucie wstydu poczęło mu palić duszę... Był skompromitowany i na zawsze zgubiony w oczach pani Reny... zachowywał się nie jak prawdziwy mężczyzna, ale jak histeryczka... widziała jego łyzy i całe to podłe, tchórzliwe zachowanie się... Czyż po tem co zaszło, może oddać mu w ręce ster swego życia?...

W tej chwili wszedł z listem służący hotelowy... Wiedział już i domyślał się wszystkiego... Gdy odbierał list z rąk służącego, poczuł przez kopertę twardy brzeżek pierścionka zaręczynowego... W tej chwili przypomniał sobie pewien moment w gondoli i jak sztylet przeszło mu duszę krótkie, rzucone przez gondoliera, straszne słowo:

— „Tchórz“!

Wenecya. Marzec 1907.

 Tekst jest [własnością publiczną \(public domain\)](#). Szczegóły licencji na stronie autora: [Henryk Zbierzchowski](#).

BACYLUS POETICUS.

(Humoreska).

Chcę mówić o chorobie strasznej, która w ostatnich lat dziesiątku rozpanoszyła się u nas przemożnie, o chorobie, wobec której medycyna i nauka stoją bezsilne, a która, jak polip tysiścęki, zapuściła swe korzenie głęboko w organizm życia współczesnego, o chorobie tem okropniejszej, że beznadziejnej i nieuleczalnej, którą fachowiec nazwałby chyba: *epidemia poetica acuta*.

Wybitne jej symptomy są: zaćmiony, błędny wzrok, wstręt i pogarda dla rzeczywistości, blada twarz, rozwichrzony umysł, długie włosy, przyspieszony puls, gorączka, nerwowość, przeczulona wrażliwość, erotomania, wizjonerstwo i obawa przed banalnością.

Przyjaciel mój Dr. N., który jest znakomitym bakteriologiem, twierdzi stanowczo, że choroba ta pochodzi od małego, niedostrzegalnego prawie wzrokiem bakcyłusa, którego udało mu się raz przychwycić w mieszkaniu zmarłego poety. „Pewnego dnia — opowiadał mi doktor zupełnie seryo — gdy wreszcie nieboszczyka już wynieśli, przeprowadzałem szczegółową desinfekcyę jego pokoju. Zmyło się podłogi, obdrapało ściany, oblewało każdy kąt karbolem. Zdawało się, że po tylu środkach ostrożności każdy bakcył, choćby najmocniejszy, musi zginąć sromotną śmiercią... Na drugi dzień przechodziłem przez odświeżony (i wydesinfekcyonowany) pokój... I pomyśl sobie... patrzę i

widzę, że na oknie, w małej szczelinie siedzi sobie bakcyl najspokojniej i śmieje się od ucha do ucha. Najwidoczniej natrząsał się ze mnie. Ponieważ było to stworzonko figlarne i nieznanne mi dotąd, domyśliłem się zaraz, że mam do czynienia z odmianą zwaną: *bacylus poeticus*, za którym poszukiwałem oddawna. Złapałem więc śmiejącą się bestię do flakonika i robię z nią eksperymenta. Owoc moich studyów ogłoszę wkrótce drukiem“.

Mój Boże! Kto dziś nie pisze wierszy... Student pod ławką pisze wiersz miłosny do niebieskookiej Mani i skarży się w taki sposób na srogość niewieściego serca:

Ach Maniu! wzgardziłaś mną, chłopcem niewinnym.
Ledwie miesiąc minął, już się ślizgasz z innym.

Pensyonarka próbuje rymów w pamiętniku przyjaciółki w następujący sposób:

I ja buch
W ten sztambuch.

Inna zapożycza się poprostu z Mickiewicza i pisze tak ku pamięci:

Litwo ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie.
Ile cię cenić trzeba ten tylko się dowie,
Kto cię utracił... czegó ci życzy szczerze kochająca przyjaciółka... Józia.

Mój przyjaciel ma rację. Musi istnieć taki bakcyl, który krąży w powietrzu i pływa w wodzie, niezniszczalny i niepokonany. W zimowych miesiącach zasypia krótkim snem, a na wiosnę budzi się znów do życia. Temu zapewne należy

przypisać, że z wiosną rodzą się poeci, jak grzyby po deszczu, i że redakcja pewnego tygodnika w miesiącu maju otrzymuje zawsze około 100.000 „nastroi wiosennych“.

Co do mnie, to epidemia ta dała mi się dotkliwie we znaki. Proszę sobie wyobrazić, że mam cały legion kuzynek, sióstr ciotecznych, mlecznych i powinowatych, z których każda uprawia poezję i marzy, aby być choć raz drukowaną. Co kilka dni dostają stopy wierszy do przeglądu i poprawienia, kuzyneczki moje zasypują mnie różowymi liścikami, w których pytają, czy można używać w sonecie końcówek męzkich, czy nieznam przypadkiem rymu na „karczma“, „trembacz“ i „indyk“, czy dość obrazowym jest taki zwrot:

Rośnie sobie brzózka,
Wiatr huczy po lesie,
Hej, Jasio Marysi
Wciąż na szyję pnie się.

albo:

Słońko złote rano wstało,
Żeby ludziom ciepło dać,
Potem znowu się schowało,
Żeby rano znowu wstać.

albo:

Chłopiec zdradliwy uśmiecha się mile,
Lecz ty dziewczyno zawsze bądź ostrożna,
Prawda, że są to przyjemne chwile,
Ale, co nie można, to nie można.

Ażeby uwolnić się raz na zawsze od konieczności odpisywania na tyle listów, a zarazem dopomóż moim

kuzynkom, pnącym się na wyżyny poezji, ułożyłem krótki i zwięzły przepis w sześciu artykułach p. t.: „Elementarz dla chcących nauczyć się w krótkim czasie tworzyć modne i nastrojowe wiersze, czyli niezawodny środek na Pegaza“.

Artykuł I. Chcesz-li napisać wiersz modny, a grzeczny, zważ przedewszystkiem na temat. To jest najważniejsze. A więc unikaj, iżby temat nie był pospolity, poziomy i banalny. Nie powinno się obierać za temat wiersza: kielbasek z chrzanem, akuszerek, szwarcu, mydła, powidła lub szczoteczki do zębów, natomiast dobrze jest pisać o nocy, o słowiku, o słońcu, o róży, o fijołku, o wiośnie i o miłości...

Artykuł II. Najlepiej, jeżeli wszystko, co napiszesz, dzieje się w duszy. Utwór staje się przez to oryginalny, największa płytkość pogłębia się, największa bezmyślność nabiera pozorów myśli. A przy tem odrazu czwórka wjeżdża się w nastrój poetycki i wzniosły. Weź naprzykład wiersz taki:

W ogrodzie rośnie drzewo sturamienne,
którego liście szumią tajemniczo!

Wiersz ten jest pospolity... nie odznacza się niczem... jest, że tak powiem, obojętny. Dodaj teraz tylko dwa krótkie słowa: „w mojej duszy“, a otrzymasz taką kombinację:

W ogrodzie mojej duszy rośnie drzewo sturamienne,
Którego liście szumią tajemniczo.

I patrz co za przemiana, co za kapitalny nastrój przez takie dwa słowa... teraz wiersze te pachną prawie głębią. W ten sposób możesz skombinować mnóstwo nastrojowych poematów, zaczynających się mniej więcej od takich słów:

W głębinach mojej duszy jest kościół wspinały

albo:

Są w mojej duszy dziwne strumienie mistyczne

albo:

Mieszka w mej duszy zadnmana ryba

albo:

W słonecznym duszy mej ogrodzie,
Pływają kaczki dwie po wodzie.

Artykuł III. Ważną rzeczą w poezji nowoczesnej są rymy. Przeto gardź rymami łatwymi, banalnymi, t. zw. częstochowskimi, a bacz, aby twe rymy były niezwykle, wytworne, rzadkie i trudne. A więc nie rymuj nigdy: Kupa, chałupa, baciarz-szmaciarz, grała-tańcowała, mnie, cię, błota-idyota, spodnie-niegodnie, a wybieraj takie, jak obelisk-zielisk, przepych-ślepych, płomienne-Gehenne, ostrze-rozpostrze, świszczcze-zgliszczcze i t. d. W każdym razie, jeżeli ci rymy sprawiają trudność, nie mozol się po próżnicy, lecz próbój wiersza białego, a pójdzie ci, jak z płątka, byleś baczył coś nie coś na rytm. Jeśli nie ma rymu, niech będzie choć rytm. Niechaj jednak Bogi strzegą cię od napisania podobnego wiersza, jaki popełnił pewien poeta, który nie miał poczucia rymu, ni rytmu, a który to wiersz brzmiał następująco:

Dnie mijają szybko,
Idyono, ty moja kolebko!
O! dlaczego ty mnie nie kochasz,

Nic mi o tem nie wspominasz.

Artykuł IV. Chcesz-li swą poezją wywołać nastrój stosowny, trzy masz ku temu drogi. Po pierwsze nie żałuj refrenów, tylko szafuj nimi, co się wlezie, po drugie niech wiersz twój będzie naszpikowany pięknie brzmiącymi przymiotnikami.

I tak naprzykład w wierszu twym kobieta niech będzie „miłośnie przegięta“, „demoniczna“, „aniołom pokrewna“, „z czuciem kwiatu“, „z instynktem tygryscy“, i „rozszała“, dusza w wierszu twym niech będzie „błękitna“, „królewska“, „wichrowa“, „subtelna“, „skrzydlata“ i „dostojna“, miłość w wierszu twym niech będzie „płomienna“, „nieskończona“, „nagła“ i „niespodziewana“, „promienista“ i „obrazoburcza“. Po trzecie nie żałuj znaków pisarskich. Kładź kropki, wykrzykniki, pauzy w środku, z przodu, z tyłu, gdzie tylko jest miejsce i gdzie ci się podoba. A przede wszystkim kropki, dużo kropek...

Artykuł V. Zważaj, ażeby w wierszach twych był nastrój... Nastrój ten jednak musi być zgodny z treścią utworu, bo inaczej napiszesz taki nonsens, jak pewien nastrojowiec, który niedawno ogłosił drukiem następujący poemat p. t. „Cisza“.

Cisza... tylko wraz z wiatrem dolata z oddali
Huk przeraźliwy stu młotów kowali,
Cisza... tylko czasami gdakają knczeta
We wsi pies szczeka i kwiczą prosięta.
Cisza ogromna, dziwna nieskończona,
Na suchym drzewie głucho kracze wrona
Ćwierkają ptaszki, w polu ryczy krowa,
Z karczmy dolata muszka echowa...
I brzmi po górach trąbka pocztyliona
Cisza ogromna, dziwna nieskończona!

Artykuł VI. Gdy wiersz, trzymając się powyższych reguł już skończyłaś, przeczytaj go przyjacielowi, a potem zapytaj go otwarcie o zdanie. Gdy ci odpowie, że to, co napisałaś, ma sens, nie zwlekaj, lecz zmień czemprowadziej wszystkie zanadto zrozumiałe miejsca, bo źle jest, jeżeli wiersz twój będzie miał za wiele sensu.

W kilka dni po rozesłaniu tego elementarza, Hela, najsprytniejsza z moich kuzynek, nadesłała list, w którym doniosła mi, że rozczytywała się pilnie w moim elaboracie i stosownie do wskazówek, w nim zawartych, napisała wiersz. Wiersz ten dołącza do listu i prosi o jego ocenę. Wiersz Heli brzmiał:

MISTYCZNY OGRÓD.

W ogrodzie mojej duszy, pośród sennych zielisk
Gdzie po ziemi tańcuje mchów królewski przepych,
Patrzy z dzikim wyrazem dwoje oczu ślepych,
Na zwalony, mej dumy samotny obelisk.

Jakiś olbrzym dostojny wbił swą dzidę w ślepie.
Cisza... tylko róg huknął, a wnet na ten sygnał
Las wrzasnął, jak gdyby ktoś psów tysiąc wygnał.
Cisza... na kwiatku lili motylek się trzepie.

O oczy, klute dzidą, a oczy mistyczne,
Takie jesteście straszne, a jednak tak śliczne.
W ogrodzie mojej duszy, pośród sennych zielisk,
Sterczy smutnie mej dumy zwalony obelisk.

Odpisałem Heli, że wiersz jest śliczny i oryginalny, że zrozumiała świetnie moje rady, ale najlepiej artykuł V., który mówi o sensie i, że postaram się o wydrukowanie „Mistycznego ogrodu“ w jednym z tygodników.

W kilka dni potem dostałem bilet od bakteriologa, abym się natychmiast stawił w jego mieszkaniu. Już w progu przywitał mnie doktor z miną tajemniczą i objaśnił, dlaczego mnie wezwał do siebie. Oto chciał mi pokazać bardzo ciekawy i niezwykły objaw choroby: *epidemia poetica acuta*. A było to tak. Michałek, służący lekarza, przez ciekawość otworzył tajemniczy flakonik i połknął zamkniętego bakcyłusa, z którym pan jego robił eksperymenta. Że chłopak był Bogu ducha winien i nie przywykły do tego rodzaju smakołyków, a bakcyłus, którego połknął, wyjątkowo złośliwy i niebezpieczny, choroba u niego nastąpiła z wielką siłą i miała groźny przebieg. Przystąpiliśmy do łóża chorego... biedny chłopak leżał w gorączce i majaczył. Doktor zmierzył gorączkę i rzekł:

— „Oj źle z naszym chorym... 40 stopni... Wczoraj było jeszcze wcale dobrze... całymi godzinami pisał wiersze do narzeczonej, zresztą był przytomny i przy zdrowych zmysłach... a teraz bredzi już i improwizuje... myślę, że to agonia“.

Rzeczywiście Michałek patrzył błędnie oczyma przed siebie i improwizował. Wsłuchałem się uważnie... powoli zacząłem i ja w jego majaczeniach rozróżniać rym i rytm... A chory improwizował:

Pewien golarz
Z tłustą Kaśką
Razem gularz
Jedli z kaszką.

Dziś z Brygidą
Flaczki jada,
O ohydo!

Jaka zdrada.

Lekarz zmierzył znów gorączkę... 50 stopni... ciekawe co będzie dalej. Michałek zamilkł na chwilę, a potem zaczął znów żalonym, pełnym wyrzutu głosem:

Gdybyś ty mnie,
Jak ja tobie,
Bylibyśmy
Już przy sobie.

Moja droga
Źle mi życzysz,
Ja do ciebie
A ty kwiczysz.

Termometr podskoczył na 80 stopni. Chłopak podniósł się nagle na łóżku, zatoczył błędnie oczyma, a potem wpatrzony w róg pokoju, jakby dostrzegł tam coś strasznego, zawołał?

Oj panowie
Ja bojusia!
Idzie do mnie
Śmierć Kostusia

Szałapota
Chuścinami,
Bambałamka
Kiczałami.


W tej chwili termometr wskazywał 100 stopni. Michałek rzucił się w tył, zatrzepotał, jak ptak rękami, szepnął jeszcze przez zęby:

Już mię imasz
Durny duchu.

Wynochaj się
Paraluchu!

i skonał. Na jego grobie postawiliśmy z doktorem wspólnym
kosztem grobowiec, z krótkim, lecz wiele mówiącym napisem:

Tu leży Michał Krupka!
Dziś z niego prochu kupka.
Krótko go ziemia nosiła,
Poezya go zabiła.

 Tekst jest [własnością publiczną](#) (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie
autora: [Henryk Zbierzchowski](#).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Grający las i inne nowele](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Ankry

- Cafemoloko
- Kuladam
- Airam57
- Salicyna
- Zdzislaw
- Tommy Jantarek
- Wieralee
- Mudbringer
- Teukros

-
1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)
 2. [↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl)
 3. [↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)
 4. [↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)